NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 23 stycznia 1909. Nr 4.

Gody weselne w Żywcu.



Gody weselne w Żywcu.

Miłość, jeden z najpotężniejszych czynników w życiu ludzkiem, posiada nieugięte prawa, którym podlegają równie dobrze zwykli śmiertelnicy, jak i osobistości, zaliczające się do sfer najwyższych. Z chwilą, gdy przemawia serce, pękają okowy konwenansu, przesądów, uprzedzeń, a psyche ludzka domaga się gwałtownie swobody działania, której, niestety, często stają na przeszkodzie powody pozornie do usunięcia niepodobne. Zaczyna się wówczas walka, w której uczucie ulega konwenansom, lub związanym z nimi interesom. Wynikiem takiekiego konfliktu bywa złamane życie dwojga kochających się istot, bywają rany niedające się zabliźnić. Szczególniej w rodzinach panujących zdarza się dość często tego rodzaju rozdźwięk między sercem a względami na odwieczne tradycye. Kobiety zaś do nich należące zmuszone są oddawać swą rękę osobnikom, do których nie czują najmniejszej sympatyi, bo tego wymaga racya stanu, względ na sojusze polityczne, lub coś podobnego.



Gody weselne w Żywcu: Arcyksiężna Renata, obecnie księżna Hieronimowa Radziwiłłowa.

Czasem jednak losy łaskawe pozwolą zakochanym, pochodzącym nie z tego samego poziomu towarzyskiego, dojść do zamierzonego celu, łącząc się w dozgonny związek miłości, który jest koroną dla ich obopólnych uczuć. Wtedy powiadamy, jaka to szczęśliwa para, która, idąc za głosem serc, pomimo poważnych przeszkód, zdołała urzeczywistnić swe marzenia.

Taką szczęśliwą, a dobraną pod każdym względem parę stanowią w ubiegłą sobotę zaślubieni: książę Hieronim Radziwiłł i jego małżonka Renata Marya, córa starożytnego rodu Habsburgów.

Radziwiłłowie — to wprawdzie jeden z najstarszych i najwięcej zasłużonych swemu krajowi rodów magnackich, jednakże nie byli nigdy rodem udzielnie panującym. Skoro więc rodzina arcyksiężniczki zdecydowała się pozwolić na jej związek z wybranym serca, należącym do tego rodu, to musiała być przekonaną, że oddaje swą córę w ręce młodzieńca, który ze wszelkich miar godzien jest tego zaszczytu, jako człowiek o wysokich zaletach moralnych, uświetniających jego pochodzenie.

Ci, którym danem było poznać bliżej arcyksiężniczkę Renatę, zachwycają się nią pod każdym względem. Po rodzicach swych odziedziczyła, oprócz ujmującej postaci, wielką prostotę, gusta estetyczne, a co nas blisko obchodzi, także szczerą sympatyę do wszystkiego co polskie. Tej sympatyi dała zresztą najdobitniejszy wyraz, wyróżniwszy z pośród tylu młodzieży równej sobie pochodzeniem, młodzieńca nie należącego do żadnej z rodzin panujących, a w dodatku Polaka.



Gody weselne w Żywcu: Książę Hieronim Radziwiłł, małżonek arcyks. Renaty.

Mamy jednak wszelkie dane do tego, aby spodziewać się, że arcyksiężniczka Renata uczyniła wybór trafny, kierowana instynktem niewieściego serca, które rzadko się myli. Książę Hieronim bowiem, wedle jednomyślnego zdania jego znajomych, jest człowiekiem, który obok zalet osobistych, posiada wszelkie dane na dzielnego w przyszłości obywatela kraju, na męża, co godnie utrzyma i pomnoży piękne tradycye rodu Radziwiłłów.

Skoro tedy tak dobrana para stwarza nowe gnia-



Gody weselne w Żywcu: Państwo młodzi na dworcu przed wyjazdem w podróż poślubną.



Gody weselne w Żywcu: Przybycie gości; pierwsza idzie arcyksiężna Izabella, za nią jej małżonek, arcyksiążę Fryderyk.

zdo rodzinne, w którem zakwitną niezawodnie staropolskie cnoty — niechaj będzie nam wolno złożyć jej w imieniu własnem i tysięcy naszych Czytelników najserdeczniejsze gratulacye.

Nasza rycina tytułowa podaje udatne portrety nowożeńców: księcia Hieronima i obecnej jego żony księżnej Renaty. Pokazuje się z niej, że jestto para nadzwyczajnie dobrana i odznaczająca się urodą niepospolitą. W górze jej pomieszczone są widoki rezydencyi arcyksięstwa w Żywcu i książąt Radziwiłłów w Balicach, gdzie zawiązał się między młodą parą stosunek, który ją szczęśliwie do ołtarza doprowadził.



Gody weselne w Żywcu: Książę Dominik Radziwiłł, ojciec pana młodego.

Arcyksiążę Karol Stefan jako miłośnik sztuk pięknych i języka polskiego.

Niewiele zapewne znajdzie się osób z tej sfery, do której należy arcyksiąże Karol Stefan, aby ożywione były, jak on, gorącem zamiłowaniem do sztuki we wszystkich jej przejawach, a zamiłowanie to podziela z nim jego dostojna małżonka, arcyks. Marya Teresa, a przeszło ono również na i ich dzieci.

Arcyksiążę jest wybornym wirtuozem na fortepianie i dobrze maluje, podobnie jak jego małżonka. Lubi otaczać się pięknemi dziełami sztuki i zbiera z zamiłowaniem stare sztychy i monety. Wnętrze rezydencyi żywieckiej obwieszone jest obrazami, wśród których spostrzegamy sporo starych portretów tych królów polskich, którzy pożenili się z arcyksiężniczkami austryackiemi.

Posiadając bardzo dużo wrodzonego poczucia artystycznego, pan na Żywcu jest na punkcie sztuki eklektykiem. Kocha się wprawdzie w obrazach dawnych szkół malarskich, lecz posiada także głębsze zrozumienie nowoczesnych prądów w sztuce, z którymi dokładnie jest obeznany. Chętnie bardzo obcuje z polskimi artystami, nabywa ich prace i w ogóle okazuje im, podobnie jak cała rodzina wiele prawdziwej życzliwości.

Nie poprzestaje jednak arcyksiążę Karol Stefan na protegowaniu czystej sztuki, interesuje się bowiem także sztuką stosowaną, a wiele jej okazów zdobi rezydencyę żywiecką.

Szczególniejsze zamiłowanie posiada arcyksiążę do naszego języka, którym włada już poprawnie zarówno w mowie, jak i w piśmie, a z którego literaturą jest gruntownie obeznany. Ponieważ zaś chętnie bardzo posługuje się nim w mowie potocznej a rodzina i otoczenie idą za jego przykładem, przeto rezydencya żywiecka robi wrażenie czysto polskiej rezydencyi. Fakt ten przyczynia się wielce do podniesienia popularności arcyksięcia Karola Stefana, na którą zresztą i z wielu innych powodów sobie zasługuje, od czasu gdy przed kilku laty osiadł na stałe pomiędzy nami ze swą rodziną na zamku żywieckim.



Gody weselne w Żywcu: Księżna Dolores Radziwiłłowa, matka pana młodego.

Podarunki ślubne.

Sala z podarunkami ślubnymi dla panny młodej przedstawiała widok wspaniały. Niepodobna tu wy-



Gody weselne w Żywcu: Klejnoty ofiarowane w podarunku ślubnym pannie młodej.

liczyć wszystkich darów, wypełniających tę wielką salę, wspomnimy tylko o najwięcej zwracających uwagę. I tak, arcyksiążę ojciec ofiarował swej córce własny portret, malowany przez profesora Kazimierza Pochwalskiego, matka, arcyksiężna Marya

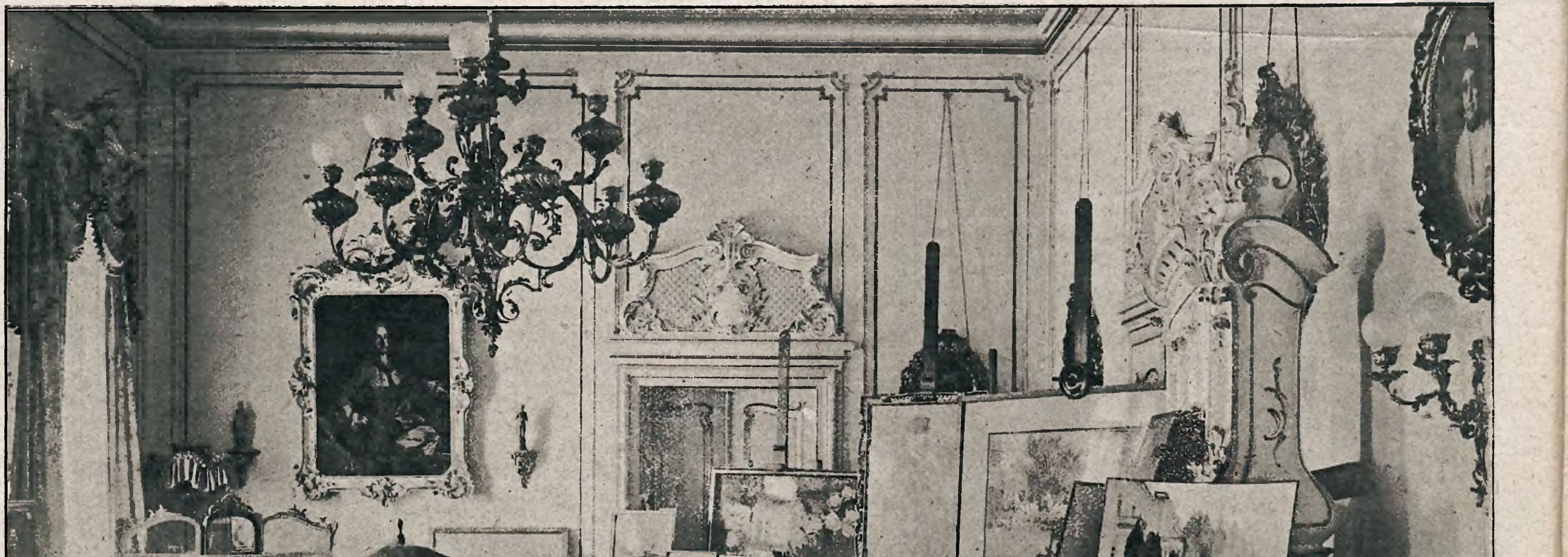


Gody weselne w Żywcu: Arcyks. Franciszek Salwator i arcyks. Marya Walerya na dworcu kolejowym.



Gody weselne w Żywcu: Mandoliniści z Balic i Morawicy grają na odjezdnem państwu młodym.

Teresa, dyadem z brylantów i rubinów i dwie rywiery brylantowe, ciotka, hiszpańska królowa Krystyna, ofiarowała broszę z brylantów i pereł, cesarz Franciszek Józef, wielką broszę brylantową, złożoną ze wspaniałych kamieni, arcyksiężna Rajnerowa naszyjnik złożony z sześciu sznurów pereł rzadkiej wielkości z zapinką szmaragdową, ks. Dominikowa Radziwiłłowa dyadem i naszyjnik brylantowy, ks. Dominik Radziwiłł, zastawę srebrną i srebra stołowe na 30 osób w stylu Ludwika XVI-go, narzeczony ks. Hieronim futro sobolowe, ks. Stanisławowstwo Radziwiłłowie, sanki ze wspaniałem futrem niedźwiedziem, ks. Celina Radziwiłłówna prześliczne koronki radziwiłłowskie z czasów ks. Karola Panie Kochanku, ks. Ferdynand Radziwiłł, starożytny, rodzinny złoty łańcuch na szyję misternej roboty, ks. Marcelowstwo Czartoryscy, prześliczny obraz Wojciecha Kossaka, przedstawiający wjazd pary narzeczonych, tj. arcyksiężniczki Renaty i ks. Hieronima na Wolę w otoczeniu banderyi krakusów, hr. Stanisławowie Tarnowscy, album artystycznie wykonane ze złotemi okuciami i herbami nowożeńców, miasto Żywiec, album z pracami Tetmajera, Podgórskiego i Fałata i wiele, wiele innych darów, pochodzących od polskich i zagranicznych spokrewnionych rodzin arystokratycznych i osób prywatnych.



Gody weselne w Żywcu: Sala z podarunkami ślubnymi.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

4 Ciąg dalszy.

Głęboka melancholia ociemniała jej piękną, delikatną twarz, oblekała smutkiem jej smukłą postać, a tak pełną łaskawego dostojeństwa, iż na wszystkich wywierała nieprzezwyciężony urok. Przechodnie, spoglądając na nią w tym eleganckim samochodzie, prowadzonym przez szofera w liberyi i lokaja w kapeluszach z wielkiemi kokardkami i herbami, mówili z zazdrością: oto szczęśliwa, a nikt nie przypuszczał, że życie markizy Morailles złamane zostało przez przedwczesną burzę. Zaledwie trzydziestoletnia, od ośmiu lat zamężna, ani jednego dnia nie miała wolnego od troski.

Była córką pułkownika barona, Cahorte, syna sławnego jenerała Cahorte, którego Napoleon wysyłając na nieuniknioną śmierć, ucałował wobec zgromadzonych pułków. Pochodził on z rodziny pewnego bednarza z Avignonu. Na polu walk napoleońskich zdobył sobie wszystkie stopnie, a wraz z stopniami i niezliczone rany. Syn jego, dziedzic sławy, siły i charakteru, krew swoją przelewał pod drugim Napoleonem. Po jedenastu latach walk, w czterdziestym roku życia poślubił hrabinę de Bionne, urodzoną de Haut-Briand, którą kochał od pierwszej młodości. Związek ich uszczęśliwiło przyjście na świat Aurory.

Do dwunastego roku życia dziecko to rosło pod opieką ojca weterana, który usypiał ją do snu piosnkami żołnierskiemi, opowiadaniami o przebytych walkach. W tym czasie pułkownik, pragnąc ujeździć dzikiego konia, spadł z niego na mur i poniósł śmierć na miejscu. W trzy lata potem opuściła ją i matka, zmarła na serce.

Aurorą zaopiekowali się rodzice matki, zamieszkujący smutny zamek w okolicach Rennes. Tam poznała ona ciężar samotnego życia.

Dziadkowie ci, którzy nie pochwalali pierwszego związku swej córki, z powodu różnicy poglądów politycznych, dawali żywo odczuć swej wnuczce niechęć, jaką pałali dla jej ojca. Córce nie mogli przebaczyć, że wyszła za mąż za barona cesarstwa, wnuczce dokuczali za jej miłość dla ojca. Chciwi i skąpi, chociaż milionerowie, wychowywali Aurorę w największem zaniedbaniu, pozbawiali ją tych wszelkich wygód, do jakich przywykła w domu rodziców. Z dziecka wolnego i szczęśliwego stała się więźniem zamęczanym złośliwością dziadka i babki.

Na szczęście w okolicy mieszkała bardzo bogata Amerykanka, pani Seymour, która otoczyła troskliwością Aurorę. I tej przyjaźni zabroniliby jej dziadkowie, gdyby nie żywili skrytej nadziei, że pani Seymour bezdzietna, zostawi Aurorze cały swój majątek. W domu tej prywatnej opiekunki odczuła Aurora pierwsze żywsze bicie serca. Poznała tam Roberta Le Chars, kawalera legii honorowej, sekretarza ambasady w Rzymie. Pani Seymour z serdeczną troskliwością patrzyła na budzenie się miłości tych dwóch serc. Przywykła do swobody w swym kraju, gdzie młodzież obojga płci poznaje się i żyje po koleżeńsku, sprzyjała spotkaniom u siebie tej młodej pary, ich szczerym i czystym rozmowom. Żyli szczęśliwie, nie przeczuwając rychłego smutnego końca. Pani Seymour otrzymała naraz wiadomość, iż cały jej majątek z powodu krachu został zagrożony. Z stanowczością kobiet swej rasy, postanowiła natychmiast jechać do Ameryki, by ratować resztki fortuny. Gdy Aurora i Robert dowiedzieli się o tem, serca ich ścisnął żal, tak z powodu nieszczęścia swej przyjaciółki, jak i na myśl, iż nie będą mogli widywać się nadal. W zamku Haut-Briand, Robert nie był przyjmowany z powodu swego mieszczańskiego pochodzenia.

Widząc ich niemą rozpacz, pani Seymour postanowiła próbować szczęścia i wyrobić Robertowi prawo bywania w zamku, spotkała się jednak z tak stanowczą odmową, iż nie śmiała nawet powtórzyć jej zakochanym. I jej głos stracił już na wadze u starych skąpców, gdy dowiedzieli się, ze majątek jej zagrożony. I nastąpiła chwila rozłąki. Po raz pierwszy usta ich spotkały się przy pożegnaniu. Robert wyjechał do ambasady do Rzymu, pani Seymour do Nowego Jorku, Aurora zaś wróciła w dawną niewolę, jeszcze żywiej odczuwając wzmożoną złośliwość swych opiekunów. Ze wspomnień swych wyrwało markizę wołanie lokaja: brama! Za chwilę drzwi się rozwarły i samochód zajechał przed przed sionek, gdzie na nią czekała cała rzesza wygalonowanych lokai.

VII.

WIERNA PRZJACIOŁKA.

Jadąc z tą straszną wieścią, Joanna wszelkiemi siłami starała się pohamować ogarniające ją wzruszenie. Przed oczyma jej przesuwało się całe życie minione, wszystkie chwile spędzone razem z markizą, której ma obecnie zawdzięczać ten okropny cios.

Od najwcześniejszych lat były z sobą prawie ciągle razem. Matka jej karmiła jednocześnie ją i Aurorę i z jednej widocznie piersi wyssały przyjaźń dla siebie. Razem słuchały opowiadań pułkownika Cahorta, razem kształciły się i wychowywały i tylko rodzicom Aurory zawdzięczać może to, co obecnie posiada w głowie i sercu. Pierwszą jej boleścią była śmierć pułkownika, następnie jego żony i wreszcie własnych rodziców. Ciężkie było ich rozstanie; gdy Aurora musiała zamieszkać w ponurym zamku Haut-Briand, lecz o tyle radosnem było powitanie, gdy Joanna wraz z mężem swym przeniosła się do la Roche-Forte. Gdy została wdową, całą miłość swoją przelała na siostrę mleczną, której była najzupełniej oddaną.

Przez wstyd markiza ukrywała przed nią swe troski, lecz trudno było nie rozpoznać, że między Aurorą, a jej mężem panowała zupełna rozbieżność myśli i ideałów, a co za tem idzie i zupełne oziębienie stosunków wzajemnych. Joanna nie była uczoną, nie znała wielkiego świata, lecz posiadała wiele subtelności, która pozwalała jej odgadnąć markiza Morailles. Uczucia jej względem niego określały się jednem zdaniem: bała go się.

Dzięki olbrzymiej swej fortunie, której znaczną część stracił już na grę, kobiety i wszelkiego rodzaju wybryki, dzięki znanemu nazwisku, talentom i powierzchowności, stał się najgłośniejszą osobistością wielkiego świata w Paryżu. I jak za tego człowieka, na pół już zużytego — pytała się siebie Joanna — mogła wyjść za mąż Aurora? A jakież byłoby jej zdziwienie, gdyby wiedziała, że jej siostra mleczna kochała kogo innego?

Markiz de Morailles i po ślubie nie przestał prowadzić dawnego trybu życia. Na postępowanie jego nie wpłynęło i urodzenie syna. Cały szereg ekscesów i kochanek, nie zużył jeszcze jego sił. Ostatni jego kaprys stał się rozgłośnym w całym świecie. Paryż rozbrzmiewał wówczas sławą głośnej artystki włoskiej, Laury Dianti. W liczbie jej wielbicieli znalazł się i markiz, lecz to lekkie uczucie, jakie żywił dla niej początkowo, zamieniło się w silną namiętność. Chciwa, interesowna, zmysłowa, choć pełna talentu, do tej pory odrzucała oświadczenia markiza, aż nie zawładnęła nim zupełnie. Gdy wyjechała do Ameryki po nowe podboje, podążył za nią i markiz Morailles pod pozorem wyprawy do bieguna.

Aurora pozostała sama i wtedy to spotkała znowu Roberta Le Chars, który znowu zdobył jej serce, lecz zarazem zburzył spokój wewnętrzny. W słodkiem upojeniu płynęły im dni, aż do chwili, gdy Robert musiał znowu wracać na swe stanowisko, obecnie do Serbii, jako pełnomocny minister. Z jego odjazdem runęło i szczęście Aurory, gdy poczuła się matką po raz wtóry. Zawsze pamiętać będzie Joanna ten smutny, ponury dzień listopadowy, który przyniósł jej wieść o rozpaczy Aurory. Była czwarta godzina po południu, gdy nagle drzwi się otworzyły i stanęła w nich blada jak trup, chwiejąca się postać markizy Morailles.

— Auroro! co ci jest, tyś cierpiąca?

Podbiegła ku niej, chwytając ją, by nie upadła.

— Auroro! powiedz, co się stało.

Drżącym, spazmatycznym głosem markiza wyszeptała:

— Jestem zgubiona!.... i łkanie zagłuszyło resztę jej słów.

VIII.

SPOWIEDŹ KOCHANKI.

— Na litość Boską, Auroro, uspokój się! — błagała ją przerażona Joanna.

— Ochroń mnie, Joanno, ochroń, — szeptała młoda kobieta, zaciskając nerwowo ręce. — Ty jedna możesz mi pomódz! Lecz nie! — przerwała, odpychając ją silnie, — nie! poco mówić! puść mnie!

— Auroro, czy ty mnie nie poznajesz, czy zapominasz, że zawsze możesz na mnie liczyć; przecież dla twego spokoju ja wszystko poświęcę, szczęście, życie.

— Tak, to prawda, — odrzekła z bolesnym uśmiechem markiza, opierając czoło na ramieniu swej przyjaciółki. — Lecz to, co ze mną się stało, jest straszne. Co ty pomyślisz o mnie?

— Coby się stało, zawsze jednakowo cię kocham i niezmiennie ci jestem oddaną. Uspokój się tylko.

Pani Morailles odsunęła się od Joanny i podniosła się piękna w jedwabnym penioarze.

— Więc ty nic nie widzisz? Przyjrzyj się, ja mam kochanka i zostanę matką.

Oczy Joanny rozwarły się szeroko przerażone. Cała jej miłość i litość malowały się w nich. Chwyciła ją za ręce i przycisnęła do własnej piersi.

— Mów Auroro, powiedz mi wszystko. O! jak ty jesteś nieszczęśliwą.

I markiza wyznała Joannie, to co skrywała do tej pory przed swą pzzyjaciółką. Z rumieńcami na bladej twarzy, słowami przerywanemi łkaniem, opowiedziała swą pierwszą miłość dla Roberta Le Chars i po kilku latach nowe z nim spotkanie.

— Byłam tak wtedy samotna i opuszczona, pozbawiona uczucia męża, który mnie zdradzał i opuszczał ciągle. Byłam godna litości; nie kochałam nikogo oprócz syna, nie pragnęłam nic, tylko ciszy i zapomnienia. Wtedy spotkałam po raz wtóry Roberta, lecz ja tylko jestem winna, ja sama! On czuł mój smutek, chciał go rozprószyć. Starałam się nie widywać go, lecz dawna miłość odżyła nanowo.

— Lecz dlaczego Auroro nie pomyślałaś, że już do siebie nie należysz? I on powinien to czuć, a gdy kochał cię....

— Wszelkie wyrzuty dziś tylko mnie czyń, bo ja na nie zasłużyłam.

— Lecz następstwa Auroro, czy o nich nie myślałaś?

Przy słowach tych postać markizy zachwiała się, twarz jej pobladła. Myśląc tylko o miłości, o wszystkiem zapomniała. Obecnie pamięta!

— To straszne, taka jestem bez czci!

— Kiedy wyjechał markiz?

— W kwietniu, a teraz mamy listopad.

— On nigdy nie uwierzy....

— Czyż uważasz mnie za zdolną, by go okłamać? — przerwała markiza dumnie. — Nie jestem tak nędzną, bym miała oszukaństwem zmywać swe winy.

— Dlaczego Auroro, wcześniej mi tego nie powiedziałaś, dlaczegoś mi nie zaufała?

— Nie wiem... nie wiem nic... wstyd mi nie pozwalał...

— Dlaczego nie zażądałaś pomocy od człowieka, który ci wszystko winien poświęcić...

— Roberta? Z początku wiele mnie kosztowało, by wyznać mu wszystko. Chciałam by nigdy o tem nie dowiedział się, lecz wkońcu napisałam do niego... już miesiąc temu... nie odpowiedział mi.

— Czyż to możliwe?

— Nie wątpię o nim, nie chcę wątpić. Jest w tem jakaś tajemnica, której nie mogę przeniknąć. Chciałam jechać do niego, lecz z tego wyniknąłby skandal, któryby zgubił mnie na zawsze. A przytem mam jakiś dziwny, niewytłomaczony lęk. Dowiadywałam się w ministeryum — on tam jest. Czy listy moje zostały przejęte? lecz przez kogo?... jak?...

— Auroro, czy chcesz, bym ja tam pojechała?

— Zrobiłabyś to dla mnie?

— Wszystko uczynię dla ciebie.

I przypomina sobie Joanna, jak badała rozkłady jazdy, kupowała bilet, szykowała się do drogi, gdy nagle w nocy przyszła depesza:

Robert od miesiąca ciężko ranny w pojedynku, dzisiaj na mych rękach zakończył życie.

Podpisane było *Maurycy*. Markiza wiedziała, że Robert miał brata tego imienia.

I rozpoczęły się dla niej dnie i noce pełne rozpaczy, zwiększającej się z każdym dniem. Nieszczęście nigdy nie przychodzi samo. Zaznała tego i nieszczęśliwa markiza. Na dwa miesiące przed przyjściem na świat dziecka, przeczytała w dziennikach, iż markiz powrócił już z Ameryki do Hawru. Wobec tej wieści Joanna poczuła, iż zbliżają się do przepaści, która ma je wkrótce pochłonąć. On przyjedzie, zobaczy i skandal wybuchnie.

IX.

POMOC WIERY NESPOW.

Przybita nieszczęściem z każdą chwilą oczekiwała markiza tego, co miało nadejść nieuniknione. Joanna, mniej zrezygnowana, nie chciała poddawać się bez walki. Za wszelką cenę chciała zbawić swą przyjaciółkę.

— Auroro — odezwała się pewnego dnia — musimy wtajemniczyć kogoś pewnego w nasz sekret.

— Nie, nigdy się na to nie zgodzę! — zawo-

łała żywo markiza. — Co ty myślisz? Wyznawać jeszcze komu swą winę?

— Auroro, błagam cię, pozbądź się złudzeń. Patrz przed siebie: przyszłość jest ciemna, lecz jeszcze nie straszna.

— Lecz gdzież ty kogo znajdziesz, ktoby mnie wybawił? — odrzekła niecierpliwie pani Morailles. — Czyśmy już nieraz tej myśli szalonej nie odrzucały?

— Boś ty nie chciała nigdy nic wysłuchać.

— Gdzie widzisz tych przyjaciół w nieszczęściu? Czy nie dość niebezpieczeństwa mi grozi? Czyż nie zawisł jeszcze nademną złowrogi los? Jedną miałabym tylko osobę, lecz jej niema; pani Seymour nie opuściłaby mnie. Najmniejszej jednak wieści o niej nie mam.

— Mogę ci dowieść — odparła Joanna — że znam czysty, szlachetny, bezinteresowny charakter, któremu możesz zaufać bez obawy. Przecież wreszcie będziesz potrzebowała pomocy.

— Mam nadzieję, że w tych chwilach życie swe zakończę — ze smutkiem odpowiedziała markiza.

— Nie masz prawa tak mówić. Twoje dziecko, wymagać będzie twej troskliwości macierzyńskiej.

— Moje dziecko... które? — zapytała markiza, a w głosie jej dźwięczał niepokój.

— Które, pytasz się?... Nie Andrzej, który znajdzie opiekę dla siebie, lecz to, co żyje pod twojem sercem; nie żądało ono przyjścia na świat, lecz domaga się już teraz twego oddania się.

Ciężkie milczenie zaległo. Słowa Joanny odniosły skutek. Po dłuższej chwili odezwała się markiza nieprzekonana jeszcze zupełnie.

— I ty znasz kogoś, ktoby mógł mi przyjść z pomocą?

— Znam kogoś o niepokonalnej energii, który choć wiekiem młody, dał już dowody niezwykłej siły duchowej i fizycznej. Ty znnsz już tę osobę, rozmawiałaś z nią, jest to moja przyjaciółka Wiera Nespow.

— Ta młoda panna?

— Ta młoda kobieta, która u łoża chorych badała życie i śmierć, która zdobyła sobie poważanie najsławniejszych chirurgów i lekarzy, kobieta, która będąc w ciągłym kontakcie z cierpiącym człowiekiem, zgłębia smutek, wstyd, występek, by za pomocą wiedzy swej leczyć to. Ta kobieta nie jest już młodą panną.

— I co ona może mi poradzić?

— Podtrzyma cię swoją energią i wszystko, co tylko człowiek swoją inteligencyą i umiejętnościami zrobić potrafi, ona to uczyni, by cię wybawić.

— A więc dobrze, zgadzam się, przyprowadź ją.

Słowa te markiza wymówiła głosem naturalnym, zwykłym wielkiej damie, przyzwyczajonej do rozkazów. Lecz Joanna potrząsnęła przecząco głową.

— Czy nie zgodziłabyś się Auroro, byśmy same poszły do niej na pierwszy raz; nie można obudzać w niej podejrzenia, że jesteś tylko pacyentką, sowicie wynagradzającą za okazane sobie usługi. Zresztą, ona uie leczy ludzi bogatych; podejrzywam, że jest także rewolucyonistką, jak wiele jej rodaczek. Twoje tytuły i bogactwa nie będą grały żadnej roli w jej poświęceniu się; w tobie będzie widziała tylko osobę potrzebującą pomocy.

— Dobrze, uprzedź ją w takim razie o naszem przyjściu.

I Wiera okazała się istotnie taką, jaką ją przedstawiła Joanna. Przyjęła markizę Morailles nie jak arystokratkę, lecz jak osobę potrzebującą pomocy i dobroci ludzkiej. Naprzód zbadała jej stan zdrowia.

— Wszystko idzie bardzo dobrze — odezwała się — spodziewam się, że nie będzie żadnych komplikacyi. Uważam to za cud, że nikt jeszcze nic nie poznał. Lecz co pani zrobi, by ukrywać swój stan do końca? Czy pani nie może wyjechać za granicę, szukać tam dla siebie schronienia?

— Nie, zaczęłyby się wtedy poszukiwania, podejrzenia. Nie, nie mogę uciekać.

— Pani pozwoli mi powiedzieć, że te uczucia są bardzo piękne i szlachetne, lecz ja ich nie rozumiem. Co pani winna swemu mężowi? — zupełnie nic. Co pani winna dziecku? — absolutnie wszystko. Ośmielę się i to powiedzieć, że dla mnie nie istnieje macierzyństwo haniebne, tajemne, lub jakieś urzędowe; jest tylko jedno święte macierzyństwo, które każdy człowiek jednakowo winien czcić. Nikt nie może pani osądzać; pani sama jest sędzią swego postępowania, pani jedyna zna przyczyny swych postępków i nikt nie może pani ganić. Słowa moje zadziwiają panią?

— Słowa takie, ja po raz pierwszy słyszę, najdroższem jednak dla mnie jest to, że pani mnie nie potępia — odezwała się markiza i wyciągnęła ręce do Wiery, która ją serdecznie uściskała.

— Czyż pani nie jest wolnym człowiekiem? Czyż pani może kto zabronić wyjechać w podróż? Czy mąż pytał się pani o pozwolenie, gdy udał się do Ameryki? Czego pani się obawia? — że wyśle za panią ajentów tajnych? ja podejmuję się zmylić ślady tak, by pani nie odkryli. Ja potrafię uwolnić cię od szpiegów! — słowa te wymówiła Wiera z jakimś specyalnym akcentem nienawiści. — A czy nie lęka się pani, że mąż po powrocie może zapragnąć na nowo wspólnego życia?



— Mów Auroro! Powiedz mi wszystko! O, jak ty jesteś nieszczęśliwą!

Na gwałtowny ruch młodej kobiety, dotkniętej tą myślą, Wiera odpowiedziała:

— Wierzę, że pani do tego nie dopuści, lecz czy nie może w jego myślach powstać jakie podejrzenie? Zresztą nadejdzie chwila, gdy pani będzie musiała na jakiś czas usunąć się. Chociaż, jeżeli zajdzie tego potrzeba, będę mogła oddalić go z Paryża.

Pani Morailles przestraszyła się tych słów młodej Rosyanki. Co ona chciała przez to wyrazić, jakimi środkami może tego dokonać?

— Życie i zdrowie pana Morailles nie mogą na chwilę nawet być zagrożone! — zawołała poruszona.

— Niech pani będzie spokojna — odpowiedziała ze źle ukrywaną ironią Wiera. — Jego zdrowiu i życiu nie grozi żadne niebezpieczeńsłwo, postanowiłam tylko wyprowadzić panią z tego przykrego położenia, w jakiem pani się znalazła. Czy pani ufa mi jako lekarzowi i przyjacielowi?

— Tak.

— A więc dobrze: gdy nadejdą najtrudniejsze dni, Joanna mnie powiadomi. Proszę dać mi teraz słowo, że gdy ta chwila nadejdzie, pani zawierzy mi się zupełnie.

— Daję je!

— Będzie pani posłuszna mym wskazówkom i pójdzie pani za mną tam, dokąd ją zaprowadzę?...

— Czy konieczne są te zastrzeżenia?...

— Niezbędne! Uczynię dla pani, czego nie zrobiłabym dla nikogo innego, lecz nie chcę, by oprócz pani, Joanny i mnie, był jeszcze ktoś inny w to wmięszany. Chodzi o zupełną tajemnicę.

— Oddaję się pani najzupełniej — odpowiedziała markiza — pokonana głosem Wiery, pełnym powagi i dobroci.

— A co pani zamierza uczynić z dzieckiem? Trzeba postanowić coś zawczasu.

— Jak najmniej chcę rozłączać się z dzieckiem.

— Jest to jak najniebezpieczniejsze.

— Lecz to mi tylko dozwala sumienie.

— Czy za żadną cenę nie zgodziłaby się pani oddać go do domu podrzutków.

— Ach, co za straszna myśl!

— Nie nastaję na to. Pozostaje w takim razie oddanie go mamce na wieś. Niema innych środków. Przy pierwszem podejrzeniu, zaczętoby nas śledzić; musi pani postanowić, iż przez dłuższy czas nikt z nas nie będzie dziecka oglądał.

Teraz okazała się szlachetność duszy Joanny, która pokonała wszelki opór Aurory. Może rozpowiedzieć, że dziecko to jest jej kuzynów, którzy wyjechali daleko do Azyi.

— Markiz nie zna mojej rodziny, nigdy nie widział mej kuzynki, nie wzbudzi więc to w nim żadnych podejrzeń.

Radość pani Morailles, zadowolonej z takiego postanowienia, przezwyciężyła wszelkie zarzuty, jakie stawiała jeszcze Wiera. Wkrótce nadjechał markiz, opowiadając o swej podróży bez słowa wspomnienia o Laurze Dianti. Aurora przyjęła w milczeniu słowa męża, zimna i obojętna, nie czyniąc mu żadnych wyrzutów. Markiz nie dostrzegł nic, nie czynił żadnych usiłowań, by wieść życie wspólne. Po dawnemu małżonkowie zajmowali swoje apartamenta, nie widując się prawie wcale; w rzadkich tylko chwilach markiz odwiedzał swą żonę, anonsując się przedtem przez służącego.

Zbliżała się decydująca chwila. Dzięki szczęśliwemu losowi, markiz postanowił wyjechać na trzy tygodnie na polowanie do swej rodziny na prowincyi. Ta okoliczność pozwoliła markizie pod pozorem wyjazdu do la Roche-Forte opuścić zupełnie swobodnie pałac. Służący kupił jej bilet pierwszej klasy do Fontainebleau, lecz jak tylko się oddalił, Aurora nabyła drugi bilet do Villeneuve-Saint-Georges, gdzie wysiadła.

Była noc: nikt nie zwrócił na nią uwagi. Przed dworcem oczekiwał samochód, w którym siedziały Joanna i Wiera. Zawróciły do Paryża. Przez oszklone okna zamkniętego z powodu chłodu samochodu, migały tylko przydrożne drzewa, małe domki z blademi światełkami, potem fortyfikacye Paryża, wreszcie aleje jakiegoś ogrodu, którego brama otworzyła się niewidocznie i zaraz zamknęła z wielkiem trzaskiem. W końcu alei wysiadły.

— Czy może pani przejść pieszo kilkadziesiąt metrów? — zapytała Wiera.

— Aurora podziękowała za pomoc w podtrzymywaniu jej za rękę, jaką chciała jej okazać Joanna, i poszła naprzód. Po przejściu przez ogród znalazły się przed małym pawilonem, którego drzwi pod ręką Wiery otwierały się bez szmeru. Zakręciła guzik przewodu elektrycznego i pani Morailles ujrzała, iż znajduje się w pracowni malarskiej, wszędzie porozwieszane były płótna, palety leżały na ziemi.

— Gdzie jesteśmy? — zapytała, drżąc cała i starając się nie zdradzić z swym lękiem.

— Sza! — odpowiedziała Wiera, kładąc palec na ustach. — Przyrzekła mi pani o nic się nie pytać... Czy chce pani tutaj odpocząć, czy też zaraz ulokować się?

— Chodźmy... niech pani poprowadzi — wyszeptała markiza.

Lampa elektryczna zagasła; drogę oświecała Wiera jakiemś nikłem światłem.

— Tędy, proszę uważać na schody.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rodzice panny młodej.

Ojciec arcyksiężniczki Maryi Renaty, która wstąpiła obecnie w związki małżeńskie z księciem Hieronimem Radziwiłłem, arcyksiążę Karol Stefan, urodził się w r. 1860 w Żydłowicach na Morawach.



Gody weselne w Żywcu: Arcyks. Marya Teresa, matka panny młodej.

Jest on drugim z rzędu synem arcyksięcia Karola Ferdynanda i arcyksiężniczki Elżbiety, a wnukiem słynnego z czasów wojen napoleońskich arcyksięcia Karola. Arcyksiążę Karol był bratem cesarza Franciszka I., którego syn był ojcem cesarza Franciszka Józefa. Matka panny młodej arcyksiężna Marya Teresa, jest córką arcyksięcia Karola Salwatora z linii książąt Toskańskich i Maryi Immakulaty księżniczki Neapolu i obojga Sycylii. Najstarszym bratem arcyksięcia Karola Stefana jest arcyksiążę Fryderyk, znany dobrze w Krakowie ze swego pobytu w r. 1879 i 1880. Stryjem ich był arcyksiążę Albrecht, zwycięsca z pod Custozzy, po którym odziedziczył arcyksiążę Fryderyk Cieszyn, a arcyksiążę Karol Stefan Żywiec. Siostrą przyrodnią arcyksięcia jest arcyksiężniczka Marya Teresa, przyszła dziedziczka tronu bawarskiego, poślubiona Ludwikowi księciu bawarskiemu, potomkowi po córce króla Jana Sobieskiego.

Arcyksięstwo Karolowie Stefanowie mają trzech synów: Karola Olbrachta, Wilhelma i Leona i trzy córki: Eleonorę, Renatę i Matyldę. Arcyksiężniczka Renata urodziła się w Poli, dnia 2 stycznia 1888 r.

Arcyksiążę Karol Stefan jest admirałem marynarki austryackiej. Osiadłszy w Żywcu, corocznie odbywa podróże na własnym jachcie, opływając najczęściej wybrzeża Dalmacyi, gdzie zna każdy zakątek. Zwykle towarzyszy mu cała rodzina.

Radziwiłłowie.

Radziwiłłowie, herbu Trąby, jeden z najznakomitszych i najpotężniejszych rodów książęcych na Litwie, według rodowodów rękopiśmiennych, zachowanych w archiwum nieświeskiem, wywodzą się od Wojszunda, potomka Lizdejki, ostatniego Krywe-Krywejty. W r. 1518 otrzymali Radziwiłłowie od cesarza Maksymiliana tytuł książąt państwa rzymskiego, zatwierdzony przez króla Zygmunta Augusta w r. 1549. O potędze i bogactwie tego magnackiego rodu świadczy okoliczność, iż większa część Litwy była ich własnością, tu zajmowali najwyższe stanowiska w hierarchii społecznej, w miastach i fortecach utrzymywali własne wojsko, wogóle żyli, jakby udzielni książęta. Z czasem rozdzielili się na trzy linie. Najstarsza „na Goniądzu i Medelach“ wygasła ze śmiercią Mikołaja IV. biskupa żmudzkiego, który dobra swe zapisał Zygmuntowi Augustowi, druga „na Birżach i Dubinkach“ miała ostatniego przedstawiciela po mieczu w osobie ks. Bogusława, zmarłego w r. 1669, trzecia „na Nieświeżu i Ołyce“, przetrwała do naszych czasów, tworząc gałęzie ordynatów nieświeskich, ołyckich i kleckich.

Początkowo genealogia Radziwiłłów, upstrzona baśniami pangirystów, chcących uświetnić ród i tak już zasługami swemi wsławiony, gubi się w pomroce dziejowej. Pierwszym, o którym mamy pewne wiadomości, był Mikołaj, syn Wojszunda. W r. 1386 przyjął on wiarę chrześcijańską, był początkowo starostą grudzieńskim, a około r. 1418 marszałkiem nadwornym. Odtąd spotykamy na kartach dziejów naszych chlubnie zapisane nazwiska Radziwiłłów w każdej epoce. Piastowali oni wysokie urzędy, niejednokrotnie posłowali na obce dwory i mężnie stawiali czoło na polach walki. W tej świetnej plejadzie wyróżniają się zaszczytnie: Mikołaj, zwany Amor Poloniae, jeden z głównych propagatorów idei połączenia Litwy z Koroną, Albert, biskup wileński, Jerzy Herkules litewski, Mikołaj, brat Barbary, Krzysztof Piorun, Mikołaj Czarny, Mikołaj Sierotka, kardynał Jerzy, Albrecht Stanisław i wielu innych. Jedną z najpopularniejszych figur swego czasu był książę Karol „Panie Kochanku“, wielki patryota, bożyszcze szlachty, pełen dowcipu i fantazyi, których wspomnienia do dnia dzisiejszego przechowały się w literaturze i tradycyi.

Z pomiędzy żeńskich postaci rodu Radziwiłłów najsympatyczniejszą jest dla każdego nieszczęśliwa Barbara, wdowa po Gasztołdzie, żona Zygmunta Augusta, a córka Jerzego księcia na Birżach i Dubinkach, której losy opiewało tylu naszych poetów.

Radziwiłłowie spokrewnieni są z Hohenzollernami. Antoni Henryk, pochodzący w prostej linii od Mikołaja Czarnego, zaślubił w r. 1796 księżniczkę Fryderykę Ludwikę, córkę księcia pruskiego Augusta Ferdynanda, stryja króla Fryderyka Wilhelma II. Po śmierci księcia Dominika otrzymał on ordynacyę nieświeską i ołycką, w r. 1815 zaś objął namiestnictwo wielkiego księstwa Poznańskiego. W prostej linii pochodzi od niego książę Ferdynand, obecnie głowa rodu Radziwiłłów, prezes Koła polskiego w Berlinie, polityk pierwszej wody, znany ze swych występów w obronie narodowości polskiej pod panowaniem pruskiem.



Gody weselne w Żywcu: Arcyksiążę Karol Stefan, ojciec panny młodej.

Obecnie przez małżeństwo ks. Hieronima z Maryą Renatą, córką arcyksięcia Karola Stefana, łączą się



Aparatem redakcyjnym W. Lis.

Gody weselne w Żywcu: Tablica pamiątkowa w starym zamku żywieckim.

Radziwiłłowie po raz pierwszy z domem habsbursko-lotaryńskim.

Książę Hieronim Radziwiłł, syn Dominika, właściciela Balic pod Krakowem i Dolores Maryi Franciszki z domu d'Agramonte, urodził się w Cannes 6 stycznia 1885. Należy on do linii „Szydłowiec-Połoneczka“ rodu Radziwiłłów, wywodzącej się od księcia Michała Antoniego, zmarłego w r. 1721.

Arcyksiężniczki austryackie w Polsce.

Nie pierwszy raz spotykamy się w historyi naszej z wzmianką o łączeniu się rodu habsburskiego z rodami polskiemi. Matka Jagiellonów, królowa Elżbieta, żona Kazimierza Jagiellończyka, była córką Albrechta II. cesarza niemieckiego, króla czeskiego i węgierskiego. O rękę jej, już w pierwszym roku jej życia, prosił Władysław Warneńczyk dla brata swego Kazimierza, a o starszą jej siostrę Annę dla siebie. Odpowiedziano wówczas odmownie. Dopiero gdy w r. 1451 zmarł jej narzeczony, Fryderyk saski, poprosił Kazimierz po raz czwarty o jej rękę i nareszcie cel swój osiągnął. Małżonkowie żyli ze sobą lat 38, a owocem związku było 13 dzieci, między niemi czterech królów: Władysław, Jan Olbracht, Aleksander i Zygmunt I. Wnuk ich Zygmunt August, poszukał sobie także żony na dworze wiedeńskim, zaślubiając w roku 1543 Elżbietę, córkę cesarza Ferdynada i Anny Jagiellonki. Intrygi Bony, której nie podobała się młoda królowa, zatruwały jej życie i spowodowały zgon przedwczesny. Zygmunt III. Waza wszedł w związki małżeńskie z arcyksiężniczką austryacką Anną, córką arcyksięcia Karola Ferdynanda, a po rychłym jej zgonie za ślubił rodzoną jej siostrę Konstancyę. Syn Zygmunta, Władysław IV., połączył się również z domem austryackim, pojmując w małżeństwo Cecylię Renatę, córkę cesarza Ferdynanda II. Michał Korybut Wiśniowiecki, ożenił się z arcyksiężniczką austryacką, Eleonorą Maryą Józefą, córką cesarza Ferdynada III. Owdowiawszy, poślubiła ona księcia Karola Lotaryńskiego, a wnuk jej stał się protoplastą panującego dziś w Austryi domu habsbursko-lotaryńskiego. Wreszcie i August III. skojarzył się z domem habsburskim, żeniąc się z Maryą Józefą, córką cesarza Józefa I.

Rezydencya arcyksiążęca w Żywcu.

Zamek żywiecki, rezydencya arcyksięcia Karola Stefana, który tak sobie upodobał kraj nasz, że osiadł w nim na stałe, był ubiegłej soboty, tj. dnia 16 stycznia, widownią uroczystości, jakiej podobnej zapewne nie prędko znów się doczekamy. W dniu tym odbywały się zaślubiny ks. Hieronima Radziwiłła z arcyksiężniczką Renatą, córką pana na Żywcu. Szczere sympatye towarzyszące młodej parze ze względu na związek dwu tak dostojnych a tak bliskich nam rodzin, znalazły swój wyraz w ogólnem zainteresowaniu, które okazywało społeczeństwo od chwili, gdy doszło do wiadomości publicznej, że arcyksiężniczka z rodu Habsburgów ma zostać żoną polskiego magnata. *Nowości Illustrowane*, nie szczędzące nigdy trudu i zabiegów, gdy chodzi o zaspokojenie ciekawości Czytelników co do wydarzeń blisko ich obchodzących, już w październiku ubiegłego roku podały znaczną liczbę rycin z okazyi zaręczyn arcyksiężniczki Renaty z ks. Hieronimem, które odbyły się w Balicach pod Krakowem. Teraz zaś, gdy odbyły się w Żywcu zaślubiny tej młodej pary, postarały się o bardzo udatne własne zdjęcia fotograficzne, dokonane przez redakcyjnego fotografa, a illustrujące ten fakt, który tak silnie zainteresował szerokie sfery naszego społeczeństwa.

Zamek żywiecki pochodzi, jak większość zamków polskich, które się dotąd zachowały, z XVI wieku. Należał on dawnymi czasy do rodzin: Komorowskich i Wielopolskich, później długo stał pustkami, wreszcie przeszedł na własność zmarłego w r. 1894 arcyksięcia Albrechta, syna arcyksięcia Karola, słynnego zwycięzcy z pod Aspern. Arcyksiążę Albrecht stary zamek odnowił i obok niego zbudował pałac, w którym jednak rzadko kiedy przebywał. W tym to właśnie pałacu, który wraz z kluczem żywieckim dostał się arcyksięciu Karolowi Stefanowi w spadku po stryju, odbył się ślub Radziwiłła z córą rodu Habsburgów. Teraźniejszy jego posiadacz dobudował doń znacznych rozmiarów skrzydło poprzeczne i urządził go jako wielkopańską rezydencyę, odznaczającą się wielką prostotą i gustem prawdziwie artystycznym.

Ze starym zamkiem łączą się wspomnienia, odnoszące się do króla Jana Kazimierza, które arcyksiążę Karol Stefan, kierowany właściwą sobie delikatnością oraz pietyzmem dla pamięci naszej przeszłości, uwiecznił zapomocą odpowiedniej tablicy na m umieszczonej.

Stary zamek, nowy pałac i dotykające zabudowania gospodarskie, leżą wśród ogromnego parku, założonego na sposób angielski z przestronnymi trawnikami i silnemi grupami drzew i krzewów. Tło stanowi prześliczna górzysta okolica, zdradzająca bliskość Beskidów. Do nowego pałacu dotyka niewielka kaplica, w której odbyła się ceremonia ślubna.



Aparatem redakcyjnym W. Lis. **Gody weselne w Żyweu:** Sala wielka w zamku żywieckim

Cała rezydencya otoczona jest niskiem ogrodzeniem z siatki drucianej, przez którą prowadzi do wnętrza brama, a raczej duża furta. Przy niej nie widać żadnej straży, żadnej służby, każdy może wejść do środka, nie pytany, czy ma do tego prawo. Ten szczegół jest charakterystyczny i daje wyobrażenie o tej swobodnej prostocie, jaką się odznacza sposób życia arcyksiążęcego dworu w Żywcu. Arcyksiążę Karol Stefan jest nieprzyjacielem wszelkiej zbytecznej pompy a dworską ceremonialność ograniczył do *minimum*. Z jednej strony rzuca to nader dodatnie światło na charakter dostojnego właściciela Żywca, a z drugiej — świadczy o dobrem mniemaniu, na jakie w jego przekonaniu zasługuje miejscowa ludność a rezultatem tego jest jakiś niezwykły stosunek między właścicielem Żywca a ludnością bliższą i dalszą w naszym kraju, stosunek idealny między wielkim panem a jego otoczeniem, który w obecnych czasach coraz więcej zanika. Węzeł sympatyczny, jaki umiał arcyksiążę Karol Stefan zadzierżgnąć między sobą a naszem społeczeństwem oczywiście tylko się wzmocni przez związek jego córki z przedstawicielem rodu, co tak świetnie i trwale zapisał się na kartach naszych dziejów.

Goście weselni.

Gody weselne w Żywcu odbyły się, jak było zapowiedzianem w najściślejszem kole rodzinnem. A więc ze strony panny młodej wzięli w nich udział arcyksiążę Leopold Salwator, jako przedstawiciel cesarza Franciszka Józefa, z żoną, arcyksiężną Blanką, arcyksiążę Franciszek Salwator z żoną, arcyksiężną Maryą Waleryą, córką cesarza i córką, arcyksiężniczką Izabellą Elżbietą i arcyksiążę Fryderyk z żoną

arcyksiężną Izabellą oraz córką arcyksiężniczką Gabryelą. Ze strony zaś pana młodego przybyli: Ks. Ferdynand Radziwiłł, prezes Koła polskiego w Sejmie Rzeszy niemieckiej, ks. Stanisławowie Radziwiłłowie, ks. Maciejowstwo Radziwiłłowie, ks. Celina Radziwiłłówna, ks. Karolina Radziwiłłowa i p. Antonina z ks. Radziwiłłów Dembowska. Oprócz rodziców i rodzeństwa młodej pary, tj. arcyksięcia Karola Stefana, arcyksiężnej Maryi Teresy, arcyksiężniczek: Eleonory i Matyldy, arcyksiążąt: Karola Olbrachta, Wilhelma i Leona, ks. Dominika Radziwiłła, księżnej Dolores Maryi i księżniczki Izabelli, oraz wyżej wymienionych, wzięli udział w uroczystości weselnej: ks. biskup Nowak, jako zastępca JEm. chorego ks. Kardynała Puzyny, ks. dr. Podwin, który był nauczycielem religii pana młodego, ks. proboszczowie z Żywca, Morawicy i Balic, ks. kapelan zamkowy, a także szczupła świta przybyłych arcyksiążąt.

* * *

W sobotę, tj. dnia 15 b. m. osobnym pociągiem dworskim przybyli do Żywca popołudniu arcyksiążęta. Witał ich na dworcu arcyksiążę Karol Stefan, ubrany w mundur admirała. Towarzyszył mu syn arcyksiążę Karol Olbracht, uczeń wojskowej Akademii technicznej.

Fatalna pogoda, panująca od dni kilku była powodem, że Żywiec, tonący w bezdennem błocie, nie mógł na dostojnych gościach wywrzeć zbyt dodatniego wrażenia. Po krótkiem przywitaniu na otwartem powietrzu, — stacya Żywiec nie ma krytego peronu — w czasie którego dął od gór przejmujący wicher, przybyli goście udali się do zamku. Tam o godzinie ósmej wieczorem odbył się obiad familijny. Podczas obiadu przygrywali mandoliniści z Balic i Morawicy, ubrani w stroje krakowskie.

Tegoż dnia w południe odbyło się, jeszcze przed przybyciem gości weselnych, w ściśłem kółku familijnem śniadanie, z którego podajemy udatne zdjęcie, dające wyobrażenie o niewymuszonym tonie, jaki charakteryzuje dwór arcyksiężecy w Żywcu.



...az z dostojnymi gośćmi podczas obiadu dworskiego po ślubie.

Ślub w kaplicy zamkowej.

Z dość okazałego podjazdu, znajdującego się w środku nowego pałacu, prowadzą oszklone drzwi, z dwoma oknami po bokach, do wielkiej hali zamkowej. Po prawej stronie tej hali, czyli przedsionka, jest wejście do dolnych apartamentów a nad niem polski napis: „Gość w dom — Bóg w dom“, w głębi schody, prowadzące na pierwsze piętro, po lewej zaś — drzwi do kaplicy zamkowej. Przedsionek ten, ozdobiony jest emblematami myśliwskimi, wypchanym i drapieżnymi zwierzętami, ptakami i roślinami egzotycznemi a w jego głębi znajdują się drzwi, do mniejszego przedsionka, który stanowi w zwykłym czasie wejście do pałacu. W tym przedsionku ustawione jest na głównem miejscu koło sternicze z napisem: „S. M. S. Kerka“. Ściany głównego przedsionka udekorowane są także pięknymi, starymi portretami, wśród których uderza niezmiernie charakterystyczny portret Jana Kazimierza.

Przez tę halę właśnie przeciągać miał orszak weselny z górnych apartamentów do kaplicy. Już o godz. 11-ej ustawił się w niej chór Sokoła żywieckiego w sile dwudziestu druhów pod wodzą druha Dychtonia, a w parterowej sali jadalnej obok zebrali się przedstawiciele władz, a mianowicie starosta żywiecki p. Porth, marszałek powiatowy dr. Udziela, naczelnicy sądu i urzędu podatkowego, burmistrze Żywca i Zabłocia i urzędnicy dyrekcyi dóbr arcyksięcia. Przy drzwiach, prowadzących do tej sali i przy drzwiach do kaplicy, stanęło po dwóch służących arcyksiążęcych, ubranych w prześliczne granatowe karazye krakowskie, w amarantowych krakuskach z pawiemi piórami na głowach.

Zaległa cisza, przerywana jedynie szeptem prowadzonemi rozmowami zgromadzonych i głośnym chodem wspaniałego szafiastego zegaru, umieszczonego na schodach. W powietrzu unosi się lekka woń świeżych kwiatów i dystyngowanych perfum, przez okna hali przeciskał się chwilami promień słońca, walczącego z chmurami.

Zegar na schodach wydzwania w pół do dwunastej. W górze schodów słychać odgłosy kroków, stłumione przez wzorzysty kobierzec, który je okrywa, orszak weselny schodzi z górnych apartamentów.

Panna młoda, której drużkami są arcyksiężniczki: Elżbieta, Gabryela, Eleonora i Matylda, wygląda ślicznie w białej sukni atłasowej, kroju *princesse*, z przepysznym dyademem brylantowym na ciemnych włosach. Wyraz twarzy ma skupiony, niemal surowy, znać, że walczy z sobą, aby nieokazać wzruszenia, zresztą tak naturalnego w podobnej chwili. Towarzyszą jej arcyksiążę Karol Stefan i ks. Dominik Radziwiłł. Za nią postępuje pan młody, ks. Hieronim, wspaniale ubrany w kontusz ciemnokarmazynowy i białą delię obszytą bobrami, po bokach idą arcyksiężniczka Marya Teresa, matka panny młodej i jego matka księżna Dolores.

Wszedłszy do kaplicy, państwo młodzi zajęli miejsca na klęcznikach okrytych karmazynowem przykryciem. Osobno po lewej stronie ołtarza zasiadł arcyksiążę Leopold Salwator przedstawiciel cesarza. Ceremonii ślubnej dopełnił ks, biskup Nowak, przybrany we wspaniałe szaty liturgiczne, dobyte ze skarbca katedry na Wawelu, odczytawszy błogosławieństwo Ojca św. dla nowożeńców, przysłane na ręce JEm. ks. kardynała Puzyny. Następnie ks. Podwin, niegdyś nauczyciel ks. Hieronima, odprawił mszę, po której kapelan zamkowy wygłosił dłuższą i serdeczną przemowę w języku francuskim specyalnie zastosowaną do okoliczności. Chór sokoli odśpiewał bardzo sprawnie *Veni Creator* na początku ceremonii, a po skończeniu jej, gdy orszak weselny przechodził do sali parterowej — dziarskiego poloneza układu Orłowskiego.

W sali tej nowożeńcy, na których twarzach malowało się już radosne uczucie, a miłość ich obopólna, została uświęcona błogosławieństwem Kościoła, odbierali życzenia od obecnych. Między nimi znalazła się także deputacya włościan z Balic, majątku ks. Dominika, która przez usta swego przewodniczącego złożyła gorące choć proste życzenia dla państwa młodych i wręczyła im podarek ślubny w postaci tarczy z herbem Radziwiłłów, ułożonym kunsztownie z rozmaitych zbóż gatunków.

Po skończonych gratulacyach udano się o godz. 1-ej do wielkiej sali przyjęć na pierwszem piętrze. Tam za stołami gustownie przybranymi w żywe kwiaty i zestawionymi w kształcie litery T zasiadł orszak weselny do śniadania, podczas którego panował swobodny prawdziwie weselny nastrój. Na galeryi przygrywał podwójny kwartet orkiestry 13 p. p.

Przemówienia rozpoczął arcyksiążę Leopold Salwator, wznoszac toast w języku francuskim na cześć nowożeńców a zakończył go zdaniem po



Fot. aparatem redakcyjnym W. Lis.

Gody weselne w Żywcu: Orkiestra mandolinowa Czytelni włościańskiej z Morawicy, z kierownikiem Ekerem, która przygrywała w sali podczas obiadu familijnego w przeddzień ślubu.

polsku wygłoszonem: „Szczęść Boże! Państwo młodzi niech żyją!“ Po nim przemówił, ks. Ferdynand Radziwiłł, który, dziękując imieniem swej rodziny, wniósł zdrowie cesarza Franciszka Józefa. Zakończył zaś toasty arcyks. Karol Stefan, wznosząc w bardzo ciepłych słowach zdrowie rodziny Radziwiłłów, przyczem tak po polsku zakończył swe przemówienie francuskie: „Piję więc na zdrowie Radziwiłłów i równocześnie kończę szereg toastów, wznosząc po starym polskim zwyczaju najserdeczniejszy toast — kochajmy się!

Z powodu uroczystości weselnej nadeszło do gospodarzy żywieckiego zamku mnóstwo depesz gratulacyjnych, a między nimi od następcy tronu, arc. Franciszka Ferdynanda, od marszałka krajow. hr. St. Badeniego, od JEm. kard. Puzyny i w. i.



Gody weselne w Żywcu: Sala z podarunkami ślubnymi.

Fot. aparatem redakcyjnym W. Lis.

ARNOLD GOLSWORTHY.

Krzyk w nocy.

1

I.

W odległości kilkudziesięciu kilometrów od Londynu, w kierunku wzgórz Surrey znajduje się małe miasteczko Greenleafhurst z jedyną tylko szerszą a zarazem krętą ulicą, kończącą się przy starej, dobrze rentującej się oberży pod Czerwonym Lwem.

W najbliższem jej sąsiedztwie, oddzielonem jednak kilku biednemi, małemi domostwami, stała ferma Muskina, najbardziej obiecującego młodzieńca w okolicy. Pomimo, iż posiadał on spory szmat ziemi, rolnictwem zajmował się bardzo mało, twierdząc, iż w tych stronach nie wielkie ono przynosi zyski, a ponieważ zaś był chciwy na pieniądze, cały swój spryt i przedsiębiorczość zwrócił do handlu bydłem, ponadto jeszcze trudnił się piekarstwem i mleczarstwem. Słusznie też wróżono mu świetną przyszłość.

Idąc tą samą drogą dalej, napotykało się drobne posiadłości tamtejszych mieszczan, z boku zaś wznosił się zamek Greenleafhurst, siedziba sir Johna Lesterham. Wybudowany za czasów królowej Anny, stał on pośrodku wielkiego parku, za którym widniały mury miejskiego kościoła.

Na drugim końcu miasteczka, prawie że na samym jego skraju, w miejscu jak najmniej odpowiedniem mieścił się urząd pocztowy, którym kierował od blisko ćwierć wieku pan Josiak Ponderbury, człowiek ogólnie lubiany za swoją uprzejmość. Tylko połowa jego biura była przeznaczona do dyspozycyi rządu Jego Królewskiej Mości, w drugiej bowiem urządził on skład z papierami i dziennikami, stając się przez to jedynym protektorem literatury w tym zakątku świata. Choć zajęcia jego nie bardzo były skomplikowane i nie wiele mu zabierały czasu, chętnie jednak wyręczał się w nich córką swą miss Adą Ponderbury, by, jak mawiał, zebrać siły na podróż na tamten świat.

O ćwierć kilometra dalej znajdowało się znowu kilkanaście domów, wśród których pierwsze miejsce zajmował dość duży drewniany, na kamiennem podmurowaniu dom, otoczony niewielkim ogródkiem. Na froncie jego widniała biała marmurowa tablica z napisem:

Wilfred Alliston, Magister nauk wyzwolonych.

Szkoła prywatna.

Zakład ten naukowy, założony przed dziewięciu laty, cieszył się wielkiem uznaniem w całej okolicy. Nie tylko bogatsi ale i biedniejsi mieszkańcy posyłali tam na naukę swoje dzieci, twierdząc, iż więcej one tu korzystają, niż w szkole rządowej, która, według wyrażenia miejscowego proboszcza, nie może wykształcić nawet obywateli trzeciej klasy.

W szkole tej przy otwartem oknie siedział w letni wieczór Wilfred Alliston zajęty pisaniem sprawozdania z zakończenia roku szkolnego. Chociaż wakacye już się zaczęły, był on jednak dnia tego więcej zajęty niż zwykle. Obok niego leżał na stole list, do którego zwracał mimowoli bezustannie swe oczy. Sądząc z daty był on napisany przeszło przed miesiącem.

Wilfred przerwał na chwilę swą pracę i wziął go znowu do ręki, by przeczytać może po raz setny:

Lima 31 maja.

Moje drogie dziecko!

„Los wreszcie uśmiechnął się i do mnie i może już wkrótce ujrzę cię drogi synu. Przeszło 20 lat, jak cię nie widziałem; w ostatnim liście dostałem twą fotografię, obecnie posyłam ci swoją. Czy i mnie znajdziesz tak zmienionym, jak ja Ciebie? Niedługo się przekonamy o tem.

„Wyjeżdżam do Anglii w piątek i prosto przybędę do Ciebie. Po wylądowaniu wyślę depeszę, byś wiedział, o której godzinie przybędę do Greenleafhurst. Czy znajdę na dworcu konie, bo jak piszesz, cztery kilometry jest od Ciebie do kolei. Lecz jakież śmieszne zadaję pytania! przecież nie będzież już miał czasu na odpowiedź! Nie kłopocz się tem, mój chłopcze, łatwo znajdę Twe mieszkanie.

Nie piszę więcej, gdyż wkrótcze zobaczymy się. Niech Cię Bóg błogosławi.

Twój kochający Cię zawsze ojciec
Ryszard Alliston“.

Ojciec i syn żyli rozłączeni z powodu zwyczajnych zupełnie kolei życiowych. Ryszard Alliston pełnił urząd sekretarza w konsulacie angielskim w Limie, stolicy Peru. Przed kilkudziesięciu laty przybył on na krótki czas do ojczyzny i wtedy, urodził się Wilfred, matka jednak jego przyjście na świat przypłaciła swem życiem. Ojciec zabrał ze sobą syna i wrócił do Peru, gdzie Wilfred chował się do dziewięciu lat, klimat jednak tamtejszy wywierał na niego coraz gorszy wpływ, tak iż ojciec zmuszony był odesłać go do kraju do swych krewnych, którzy wychowali go na dzielnego człowieka.

Ojciec nieraz układał sobie w myślach podróż do Anglii, by zobaczyć się z synem, lecz za każdym razem stanęło mu coś na przeszkodzie. Peru w tych czasach przeżywało okres wstrząśnień państwowych i gdy nie było w otwartej wojnie z swą sąsiadką Chili, musiało uśmierzać wewnętrzne rewolucje i powstania. Obowiązek więc ciągle zatrzymywał go na miejscu. Potem przyszły wydatki na odpowiednie kształcenie syna, co nadwyrężyło bardzo budżet domowy pana Allistona, utrzymującego się tylko z swej pensyi urzędniczej. By wynagrodzić sobie tę przymusową rozłąkę prowadził on z synem ożywioną korespondencyę, podtrzymując i rozbudzając w dziecku uczucia przywiązania i miłości dla prawie nieznanego ojca. Jedno tylko między nimi zaszło chwilowe nieporozumienie, gdy ojciec oznajmił, iż ożenił się po raz wtóry. Wilfreda dotknęła bardzo ta wiadomość, uważał bowiem, iż został przez to pozbawiony miłości ojcowskiej i w przystępie gniewu napisał do niego ostry bardzo list, zaraz jednak pożałował swego uczynku i wysłał drugi, prosząc w nim o przebaczenie. Ojciec nie zrobił mu żadnego wyrzutu, nigdy jednak już ani słowem nie wspomniał o swej żonie. Sądząc z treści obecnego listu, powracał on sam do kraju.

Wilfred rozmyślał o tem wszystkiem, gdy nagle z zadumy wyrwała go nadchodząca do okna wysoka, okazała postać męska o jowialnej, dobrodusznie uśmiechniętej twarzy.

— Ach, pan Ponderbury, dobry wieczór; zastał mnie pan rozmarzonego.

— Zupełnie to przystoi młodemu człowiekowi, który pragnie, aby jak najprędzej jakie piękne rączki zarzuciły mu na szyję jarzmo małżeńskie. Ale niech pan zgadnie, z czem przychodzę?—odpowiedział urzędnik pocztowy.

— Co takiego? — zapytał żywo Wilfred, wstając i podchodząc do okna — list?

— Depesza, w tej chwili przyniesiono mi ją z kolei; cztery mile po sześć pensów stanowi dwa szylingi, które pan pozostaje winien, za dostarczenie do domu depeszy nic się nie należy, gdyż sam się tego podjąłem.

— Dlaczego pan to robił? — zapytaj Wilfred, przekonany, iż Ponderbury miał w tem jakiś interes.

— Aby zobaczyć pańską minę, gdy pan będzie czytał — odpowiedział urzędnik, śmiejąc się wesoło.

Wilfred rozerwał depeszę i zawołał z radością: Wreszcie!

— Więc przybywa? odgadłem dobrze?

Młody nauczyciel przeczytał głośno otrzymaną wiadomość:

„Opuszczam Waterloo o szóstej; nie spotykaj; na dworcu mam widzieć jedną osobę. —
Ojciec“.

— O szóstej godzinie — powtórzył Ponderbury wyjmując z kieszeni swój wielki zegarek. — A więc ojciec zaraz przyjedzie, gdyż jest pół do ósmej. Na dworzec przybył przed siódmą, a końmi jedzie się tutaj tylko pół godziny.

— Ależ ojciec ma przedtem kogoś widzieć — odpowiedział Wilfred — nie wiedziałem, że ma tutaj znajomości, kto to może być?

— Ciekawość pańską zaspokoi po przyjeździe. Joe Muskin będzie bardzo zadowolony, że pan nie jedzie na kolej; słowo daję, westchnie, gdy się o tem dowie... i Ponderbury roześmiał się, jakby komu spłatał figla.

— Nie rozumiem dobrze, dlaczego?

— Bo pan nie wie, że powiedziałem Muskinowi, aby zawiózł pana na dworzec swoim kabryoletem.

— Bardzo dziękuję za troskliwość — przerwał Wilłfred — ale jeszcze nie...

— O, to nic złego — śmiał się dalej urzędnik — lubię nieraz wprawić w kłopot Muskina, on taki skąpy i nieużyteczny, żałuje nawet swego konia. Gdym chciał, by pana zawiózł, zaczął stękać, że jego klacz zmęczona, choć wiedziałem, że sam ma udać się w tę samą stronę do miasta na jarmark.

— W takim razie — zaczął Wilfred...

— Hop! hop! — zawołał ktoś z drogi i nauczyciel ujrzał, jak Joe Muskin wyskoczył z wózka i zaczął z niepokojem obmacywać kolana swego konia, jakby obawiał się, czy przypadkiem nie zmordował on się przebieżeniem pół kilometra. Potem Muskin zbliżył się do okna.

— Dobry wieczór! — rzekł, kłaniając się swą niekształtną głową.

Wilfred oddał mu ukłon uprzejmie, mimo iż nie żywił wielkiej sympatyi dla młodego handlarza bydła, skąpstwo którego było powszechnie znane. Jeden tylko Ponderbury umiał trafić do niego, wykorzystując swój wpływ, jako przyszły jego teść. Miss Ada wbrew bowiem woli swej rodziny i przyjaciół, zaręczyła się z nim i ślub miał się odbyć niezadługo.

— Co to, Joe, klaczka ci się ochwaciła? — zapytał urzędnik z miną pozornie współczującą, a oczy mu tylko świeciły się drwiąco.

— Nie, ale zmęczyła się porządnie — odpowiedział Muskin niechętnie, podejrzywając szczerość okazywanego mu współczucia.

— Niech mi pan wierzy — że jestem bardzo zobowiązany, panie Muskin... — zaczął Wilfred.

— O, to drobnostka — przerwał urzędnik. — Joe jest szczęśliwy, iż mógł zboczyć trochę z drogi, by zrobić przysługę bliźniemu.

I roześmiał się głośno z widocznem szyderstwem.

— Jednakże — mówił dalej nauczyciel — nie mogę skorzystać z pańskiej uprzejmości, gdyż nie jadę na dworzec.

— Oh! — pospieszył odpowiedzieć Joe — bardzo mi to przykro, rad byłbym zabrać pana z sobą. Widząc, że nic nie będą od niego żądali, chciał się okazać choć w słowach uczynnym.

— Ależ istotnie — nie przestawał kpić urzędnik, spoglądając na konia, który bił niespokojnie kopytami o ziemię — byłoby okrucieństwem męczyć zwierzę, które ledwo dyszy.

— A tak, tak, dyszy, bo się ochwaciło — potwierdził znowu farmer.

— W takim razie poradzę ci, mój drogi Joe, odprowadź konia z powrotem, wydój krowę, daj mu się napić ciepłego mleka i połóż go do łóżka; przekonasz się, że przy takiej kuracyi zaraz wyzdrowieje.

— Eh! proszę mi nie radzić! — zawołał rozgniewany już tym razem Muskin i siadając do wózka, odjechał pospiesznie.

— Skończę tylko list, który zacząłem pisać — rzekł Wilfred i pójdę na spotkanie ojca, w każdym razie będzie musiał przejeżdżać przez miasteczko.

— Jeżeli nie będę panu przeszkadzał, to poszedłbym kawałek drogi razem; sklep zamknąłem już przed wyjściem.

— Bardzo się cieszę z tej propozycyi, wcale mi pan nie będzie przeszkadzał, moi przyjaciele będą przyjaciółmi i dla mego ojca.

— W takim razie zapalę swoją fajeczkę i poczekam.

Wilfred zaświecił lampę i pospiesznie zaczął pisać. Gdy skończył, na dworze zapanował już zupełny mrok, było kompletnie ciemno.

— Nie bardzo przyjemnie iść o tej porze, gdy nawet gwiazdy nie świecą — zauważył Ponderbury wychodząc ze szkoły.

— Oh, ja już przyzwyczaiłem się do tego — odparł Wilfred — nie raz zdarza mi się iść i później w nocy, gdy wracam od proboszcza. Zresztą, czegóż można się obawiać?

— Niczego, zresztą nie wiem — przyznał się lękliwie stary urzędnik — w każdym razie wolę być o tej porze u siebie w domu.

— Chyba nie wierzy pan w duchy?

— Duchami nie zajmuję się, lecz mrok w pustem miejscu sprowadza nieraz dziwne myśli.

Przez kilka minut szli w milczeniu; opuścili już miasteczko, w którem gdzieniegdzie błyszczało światło w oknach i teraz droga prowadziła ich przez opustoszałe kamieniste pola, zarosłe tylko chwastami. By położenie ich uczynić jeszcze mniej przyjemnem, niebo przysłoniło się czarnemi chmurami, tak iż nie mogli widzieć się już wzajemnie, słyszeli tylko swe kroki.

— Deszcz zaczyna padać — odezwał się Pondebury — kropla padła mi na rekę.

— I mnie się zdaje; istotnie noc ta nie jest bardzo miła.

— Możebyśmy wrócili? ojciec pański z pewnością przejechał inną drogą, w przeciwnym razie spotkalibyśmy go już.

— To prawda — przyznał Wilfred ku wielkiej radości starego urzędnika — w tych ciemnościach możemy go nie zauważyć, a przytem zacznie się zaraz ulewa.

— Ale przed nami jest jakieś światełko — zauważył Ponderury.

— Tak; świeci się ono w szopie cygańskiej.

Ta szopa cygańska był to szałas sklecony z desek, stojący pośrodku bezpłodnych pól Greenleafhurst. Początkowo był to barak przeznaczony dla bydła, z biegiem jednak czasu stał on się nie uży-

eczny i od kilku lat służy on tylko na czasowe schronisko dla wędrujących cyganów.

— Z pewnością przybył tam nowy obóz cygański: schronili się do środka z obawy przed burzą.

Wifred zamyślony, patrzał na błyszczące przed nim światełko. Towarzysz jego wziął go pod rękę, by pociągnąć z powrotem. Nagle zadrżeli obai.

Wśród grobowej ciszy nocy, jakiś ostry długi, krzyk przeraźliwy dobiegł ich uszu. Zdawało się, iż rozdziera on ciemności, drga wszystkimi tonami bólu, wznosi się wyżej, poczem zwolna zamiera jękiem. Jednocześnie światło znikło.

— Co tam się dzieje? — zawołał, drżąc cały Ponderury.

— Chodźmy czemprędzej, trzeba się przekonać — odrzekł Wilfred.

— Ależ.... — zawachał się stary urzędnik.

— Nie traćmy czasu, tam może o życie ludzkie chodzi!

I nauczyciel chwytając go za rękę, pociągnął naprzód. Z trudem biegli w ciemnościach, potykając się na nierównym gruncie. Blisko szopy zatrzymali się na chwilę, by odetchnąć; usłyszeli lekki jęk. Przyspieszyli kroku i Wilfred pierwszy wpadł do środka.

— Kto tu jest? — zawołał przerażony.

Z kąta szopy dobyło się ciche, stłumione rzężenie konającego. Wilfred podbiegł w stronę, z której dochodził ten głos i potrącił nogą o jakąś przeszkodę. Schylił się w tej chwili i macając ręką natrafił na ciało ludzkie, leżące na ziemi. Z piersi płynęła mu lepka i ciepła ciecz. Rozległo się silniejsze jęczenie, które wkrótce zamieniło się w charczenie. W chwili tej wszedł zadyszany Pondebury.

— Prędzej! — odezwał się po cichu Wilfred — ma pan zapałki? Niech pan poświeci.

Urzędnik trzasnął zapałką i szczęśliwie wzrok jego padł na mały ogarek świecy, pozostawiony zapewne przez ostatni tabor cygański. Zapalił go zaraz i przysłaniając ręką od powiewu wiatru zbliżył się do Wilfreda, który klęcząc, podtrzymywał ręką głowę jęczącego człowieka.

Przy słabem świetle świecy, młody nauczyciel mógł skonstatować, że z lewej piersi nieznajomego płynie obficie krew. By ją zastamować wyciągnął w jednej sekundzie chustkę z kieszeni i przytknął ją do rany. Nieznajomy podziękował mu za to wdzięcznem wejrzeniem.

— Niech pan zawoła o pomoc — odezwał sie Wilfred do swojego towarzysza, który blady ze strachu trzymał w drżącej ręce migocące światełko.

Przy słowach tych, ranny zrobił wysiłek, jakby chciał podnieść się na rękach, brakło mu jednak sił do tego, wstrząsnął tylko głową i szepnął jakieś niezrozumiałe słowa. Nauczyciel nachylając się do samych jego ust, dosłyszał tylko: za późno.

Pondebury chwiejąc się ze wzruszenia na nogach, przyklęknął z trudnością koło umierającego. Gdy zbliżył do niego światło, Wilfred naraz zatrząsł się cały i zawołał przeraźliwym głosem:

— Mój ojciec! Boże! co się stało! Ojcze, ojcze mój! mów do mnie, mów:

Oczy umierającego rozjaśniły się lekko, a z półotwartych bledniejących warg dobył się bezdźwięczny szept: Wilfred. Nieszczęśliwy syn przypadł ustami do jego twarzy i całował zimne czoło ojca Ponderury przejęty tą sceną, odwrócił głowę na bok i załkał, jak małe dziecko.

— Ojcze, powiedz mi, co się stało? Czyś po to wrócił do kraju, by umrzeć taką śmiercią?

Usta starca poruszyły się znowu, lecz bezsilne do wydania dźwięku, twarz zaś jego zmarszczyła się jakimś niewypowiedzialnym bólem.

— Ojcze, kto cię zabił? kto ci zadał ten cios? powiedz mi jego imię.

Z pod przysłoniętych powiek oczy jego zabłysły lekko. Ku wielkiemu zdziwieniu Wilfreda, ojciec zdołał unieść się na łokciu i dał mu znak, by się zbliżył. Przyłożył on pospiesznie twarz do wychniętych warg, lecz dosłyszał tylko chrypliwy święk i głowa ojca opadła mu na ręce. Już nie żył!

II.

Na trzeci dzień rano po odkryciu tej strasznej zbrodni Wilfred Alliston siedział w swym pokoju zamyślony, spoglądając na fotografię ojca.

Gdy Pondesbury wybiegł z szopy, by zawołać o pomoc, spotkał na drodze dwóch mieszczan, dzięki którym sprowadzono z miasteczka nosze i przeniesiono zwłoki ofiary do mieszkania nauczyciela. Jednocześnie zawiadomiono miejskiego policyanta. Mimo spóźnionej pory wiadomość ta rozniosła się szybko po całem Greenleafhurst i do samego rana wszyscy dyskutowali nad tą zbrodnią, czyniąc najrozmaitsze przypuszczenia.

Sir John Lesterham, jako sędzia pokoju został natychmiast poinformowany o zaszłym wypadku; na drugi dzień udał się wczesnym rankiem do szkoły, raz jako urzędnik, a zarazem by wyrazić swoje ubolewanie i sympatyę Wilfredowi. Współczujący baronet uczynił wszystko co mógł, by oszczędzić nauczycielowi nieprzyjemności śledztwa, nie mógł jednak przeszkodzić, by nie przeniesiono ciała zabi-



Ojcze, kto cię zabił? Kto ci zadał ten cios? Powiedz mi jego imię!

tego do policyi. Zdołał jednak nakłonić koronera, sędziego śledczego, by zadowolił się tylko piśmiennem zeznaniem Wilfreda, a nie wymagał ustnego, składanego publicznie.

Nieszczęśliwy syn odczuł dla baroneta prawdziwą wdzięczność za okazaną sobie uprzejmość, jednak gdy się dowiedział, że obecność jego będzie niezbędna w policyi w razie potrzeby uzupełnienia swego zeznania drobnymi szczegółami, okazał zupełną gotowość do tego, pragnąc dowiedzieć się sam wszystkich faktów zebranych przez śledztwo. Postanowił do tej pory nie spocząć, dopóki nie odkryje zabójcy ojca.

Wilfred nie miał przyjaciół, z którymi mógłby podzielić się swojem nieszczęściem, mimo to, rano dnia tego, siedząc przy stole, miał przed sobą przygotowany papier do pisania listu. Istniała bowiem osoba, tyle dotknięta tą zbrodnią, co i on: myślał o kobiecie, z którą małżeństwo jego ojca tak go ongi rozgniewało. Czuł obecnie, iż bez względu na swój stosunek do niej, winien ją zawiadomić o śmierci ojca. W każdym razie była to kobieta, która kochała ofiarę, należało też uprzedzić ją o nieszczęściu z oględnością i czułością.

Tutaj jednak nasuwała się pewna trudność. Wilfred nie wiedział nawet, czy ona żyje, czy już umarła. Ojciec zachował o niej najzupełniejsze milczenie i nigdy ani jednem słowem nie wspominał o niej w swych listach. Jeżeli żyje, czy towarzyszyła swemu mężowi do Anglii, czy też pozostała w Peru. Jeżeli bawi w Europie, wiadomość ta napewne już ją doszła i wkrótce winna przybyć do Greenleafhurst. Rozmyślał właśnie o tem, gdy przed ogródek zajechała bryczka, z której wysiadł sir Johe Lesterham i zbliżył się do okna.

— Dzień dobry — rzekł baronet uprzejmie. — Ponieważ obecność nasza będzie dzisiaj rano potrzebna, wstąpiłem po pana, byśmy razem odbyli tę drogę.

— Serdecznie dziękuję — odpowiedział Wilfred, ściskając mocno podaną sobie rękę. — Nie wiedziałem, że pan także musi być przy śledztwie.

— Oh, idę tam tylko jako świadek. Mam poinformować sędziego co do tej szopy cygańskiej; przytem także chciałbym dowiedzieć się, czy zebrano już jakie fakty.

— I ja tego bardzo pragnę — odrzekł Wilfred, wychodząc z domu i siadając do wózka baroneta.

Przez ten czas w merostwie zebrali się ludzie, wezwani do śledztwa i sędziowie przysięgli. Przed domem stali zaciekawieni mieszkańcy, oczekując przybycia koronera. Uwagę wszystkich zwracał wysoki mężczyzna, trzymający się na uboczu, którego wtajemniczeni nazywali detektywem przybyłym z Londynu. Najwięcej jednak ludzi skupiło się koło Ponderbury'ego, naocznego świadka całego wypadku.

Ubrany odświętnie, z miną namaszczoną, stosownie do podniosłej chwili, opowiadał po raz może już setny całe zdarzenie. Słuchaczów nigdy mu nie brakło, zawsze był otoczony ludźmi, którzy z głębokiemi westchnieniami słuchali jego opowieści. Gdzie się tylko pokazał, znajdował koło siebie ciekawych, zwłaszcza zaś w oberży pod „Czerwonym Lwem“. Stał się główną osobą, ważniejszą od zamordowanego. Zbrodnia ta z ust jego wychodziła jako piekielne przestępstwo, dokonane przez jakieś siły niewidzialne, dyabelskie.

Wreszie przybył koroner i odezwał się do zebranych:

— Panowie zostali wezwani, by uczestniczyć w śledztwie, które ma wam okazać, gdzie, kiedy i jak, w jaki sposób Ryszard Alliston, urzędnik konsulatu Jego Królewskiej Mości w Peru, znalazł śmierć. Panowie zbadali już ciało wystawione w sali umarłych. Wobec bolesnych okoliczności, dotykających rodzinę ofiary postanowiłem uwolnić głównego świadka pana Wilfreda Allistona od ustnych zeznań, zadawalając się piśmiennem jego zeznaniem, które zaraz odczytam:

„Ja, Wilfred Alliston z Greenleafhurst, hrabstwa Surrey etc. etc. zeznaję, że 1 sierpnia b. r. otrzymałem wieczorem telegram z Londynu od swego ojca, który oznajmił mi, że przyjeżdża do mnie do Greenleafhurst, lecz przedtem ma jeszcze naznaczone spotkanie w sąsiedztwie i dlatego prosi, bym nie przybywał na spotkanie na dworzec.“

Depeszę podano sędziom przysięgłym, którzy po obejrzeniu jej zwrócili pomiętą już i pobrudzoną koronerowi.

„Tego samego wieczoru koło godziny daiewiątei, przechodziłem w towarzystwie pana Ponderbury'ego, kierownika miejscowego urzędu pocztowego, przez pole, leżące na końcu gminy, w kierunku głównej znanej drogi, którą miał jechać mój ojciec. Było zupełnie ciemno, niebo pokryło się chmurami. Ponieważ z trudnością tylko mogliśmy posuwać się naprzód, zdecydowaliśmy się powrócić do domu. W chwili tej usłyszeliśmy głośny krzyk jakby osoby doznającej wielkiego bólu. Pobiegłem szybko naprzód. Krzyk ten dobywał się z szopy cygańskiej, w której świeciło się wówczas małe śwtatełko. Po przybyciu do szopy ciemności nie pozwoliły mi nic widzieć, słabe jednak jęczenie skierowało mnie do rogu, w którym napotkałem ciało ludzkie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Gody weselne w Żywcu: Widok starego zamku.



Gody weselne w Żywcu: Śniadanie na zamku żywieckim w kółku rodzinnem w przeddzień ślubu.

Kronika tygodniowa.

(Wiosna. — Porozumienie austryacko-tureckie. — Kompensata dla Serbii. — Jerzy gada, Wiluś milczy. — Kult nagiego ciała. — Wojownicza Austrya. — Koncesye narodowe. — Owacye dla kata. — Edward w podróży a sułtan w kłopocie. — Ordery, wybór fizyka i trochę drobiazgów).

Ku utrapieniu wszelakiego śmiertelnika nie umiejącego pływać i nie mającego kaloszy, skonstatowali astronomowie, iż zbliża się wiosna i to nader szybkim krokiem. Zwiastuny są bardzo pewne, gdyż jak wiadomo ruszyła Wisła ta mokra, która rozdziela wielki Kraków od chcącego być wielkiem Podgórza, a 16 b. m. ruszyła i Wisła, która połączyła część ludowców z konserwatystami. Nadto onegdaj złapał policyant na Stradomiu Słowika, który widocznie wybierał się na wiosenną wędrówkę, gdyż ukradł kufer i rozbił gablotkę wystawową. Ponieważ wiadomo każdemu z zoologii ś. p. Nowickiego, iż słowik nie był nigdy ptakiem drapieżnym, odstawiono go do muzeum osobliwości miejskich „pod Telegrafem“, gdzie go znani przyrodnicy krakowscy poddali gruntownym badaniom.

Nie cieszy jednak nikogo owa spodziewana wiosna, bo wiemy już z „Pana Tadeusza“, iż zbyt wczesny jej powrót nie wróży nic dobrego. Wszakże Serbowie odgrażają się ciągle, iż z chwilą jej nastania rozpoczną kroki nieprzyjacielskie przeciw Austryi, co zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, zwłaszcza teraz, gdy zawiodła Serbię nadzieja, że Turcya ją poprze. Zrzedły też potężnie miny polityków serbskich, gdy się dowiedzieli, iż pan Kiamil basza z ekscellencyą Pallavicinim porozumiał się już brzęcząco, a już rozpacz ich nie miała granic, gdy parlament turecki po *exposé* wielkiego wezyra ogromną większością głosów wyraził mu votum zaufania. Wobec tego ustaje i bojkot austryackich towarów. Prasa angielska, która wiele oliwy dolała do ognia bałkańskiego, robi teraz *gute Miene zu bösem Spiel*, a *Daily Chroniele* składa nibyto serdeczne życzenia rządowi austryackiemu i tureckiemu z powodu porozumienia i daje wyraz przekonaniu, że baron Aehrenthal w interesie pokoju okaże pojednawcze usposobienie i wobec Serbii i Czarnogóry. Prasa polityczna robi już przypuszczenia, jaką to rekompensatę otrzyma król Piotr od Austryi za szkody nieponiesione i sądzi, że najprzyjemniejszem dla niego byłoby zaproszenie do Wiednia. W ten sposób wymazano by z pamięci ową czerwoną plamę, jaka zamazała historyę Serbii w czasie wstąpienia na tron Jego Królewskiej Mości. Ja dodałbym jeszcze jedną przysługę dla rządu serbskiego ze strony Austryi. Księcia Jerzego dla dokończenia studyów i uspokojenia wzburzonych nerwów należałoby na parę lat oddać na koszt rządowy do krakowskich Józefitów lub zakładu księdza Siemaszki, z zastrzeżeniem, aby nie żałowano tam owego *argumentum ad hominem*, o którem to już Duch św. tak się pięknie wyraża, jak wiemy z owej znanej i doświadczonej powiastki, iż „różdżką dziateczki Duch święty bić radzi!“

Na temat polityki bałkańskiej tworzą się coraz to nowsze kombinacye, które zajmują naszych polityków, ale martwią niesłychanie podatników, choć komunikat urzędowy pociesza, że koszty utrzymania zbrojnego pogotowia w Bośni nie wynoszą pięćset milionów koron, ale tylko dwieście. Jak na początek to i to za dużo. Opowiadają, że król Piotr myśli abdykować, to samo twierdzą i o księciu Mikołaju czarnogórskim, ale zdaje się, że rzecz ma się tak, jak z owym wyjazdem Pallaviciniego z Konstantynopola, który ciągle pakował swe manatki, a przecież z miejsca się nie ruszył. Książę Jerzy wygłasza wojownicze mowy, najchętniej do wojskowych, gdyż z berlińskiego doświadczenia wie, iż i synowie Marsa są gadatliwi, więc co im obwieści, to oni wnet roztrąbią na wsze strony.

Jeden tylko Wiluś milczy jak skała i od Nowego Roku nie popełnił żadnej mowy, ani interwiewu. Niemieccy dziennikarze w rozpaczy, niema o czem pisać! Zlitowała się jednak Opatrzność nad biedakami i zesłała im gratkę pod postacią dyskusyi w Sejmie pruskim o „kulcie nagiego ciała“, która zajęła i wypełniła całe jedno posiedzenie. Poseł z centrum p. Roeren zainterpelował w tej kwestyi ministra spraw wewnętrznych hrabiego Moltkego, a ten z prawdziwą znajomością rzeczy wyłuszczył mu teoryę, radząc samemu sprawdzić to praktycznie. Że zainteresowanie tą sprawą społeczeństwa w państwie bojaźni Bożej i dobrych obyczajów było niekłamane, to dowód choćby w tem, że przebieg posiedzenia śledziła pilnie z loży p. Olga Desmond, która kult ten przeszczepiła nad mętną Sprewą.

Zapomniano w obec tego i o odosobnieniu Niemiec w koncercie mocarstw europejskich i o możliwej wojnie światowej, do której tak rwą się austryaccy politycy. Wiedeńska *Armeezeitung* woła z patosem: „Wybiła godzina! (tylko nie powiada która) Wojna jest nieunikniona! Zmuszają nas do wojny, zmusza nas Rosya, zmuszają Włochy, zmusza Czarnogóra, Serbia i Turcya“ i żąda ni mniej, ni więcej, tylko wypowiedzenia wojny wszystkim razem i to natychmiast. W tece redakcyjnej znajduje się już nawet plan nowej karty Europy. Radziłbym owemu wojowniczemu panu, aby wypowiedział za jednym zamachem wojnę Chinom, Japonii, Stanom Zjednoczonym, Menelikowi, funduszowi propinacyjnemu, księciu Monaco i t. d. i t. d. Nie potrzebujemy się niczego obawiać, zwłaszcza od chwili, gdy nasza landwera dostała już muzykę własną i artylerye.

Wobec tych wojowniczych występów ucichły wewnętrzne spory narodowościowe w Austryi, jedni tylko Czesi upominają się o swe prawa, ale i oni zdaje się zadowolnią się nową koncesyą narodową, jaką otrzymały ludy krajów w Radzie Państwa reprezentowanych jako podarek noworoczny. Są to mianowicie nowe opakowania paczek z tytoniem z napisami w ośmiu językach. Gdym kiedyś w trafice kupował moje ukochane *kapustos* zwane urzędownie portorikami, zauważyłem z pewną irytacyą chłopca z drugiej klasy gimnazyalnej kupującego paczkę za trzynaście. Z oburzeniem powiadam do niego:

— Nie wolałbyś to smarkaczu za te pieniądze kupić sobie jaką książkę?

— Kiedy proszę pana ja mam wielkie zamiłowanie do języków! — odpowiada zagadnięty, pokazując mi owe ośmiojęzyczne napisy. Musiałem mu przyznać racyę!

Przy tej sposobności muszę poruszyć jedną jeszcze sprawę. Swojego czasu wydały ministerstwa polecenie, że nie należy zmieniać nazwisk miejscowości, ale wymieniać je tak, jak je Pan Bóg stworzył, więc Kraków, Lwów, Nowy Sącz, Nowy Targ, Żywiec, a nie Krakau, Lemberg, Neu Sandez, Neumarkt, Saybusch. Reskrypt ministeryalny swoje, nasze władze swoje, owe dziwolągi językowe pokutują widocznie w biurokratycznej literaturze i zdaje się, nie doczekamy ich się wykorzenienia.

Ogólne zdumienie wywołały w całym cywilizowanym świecie owacye, których przedmiotem stał się we Francyi p. Deibler, kat z Paryża. Śmiało można powiedzieć, że *monsieur de Paris* stał się bohaterem narodowym obecnej Francyi. Gdy z okazyi egzekucyi czterech członków czynnych bandy Polleta zjawił się ze swym aparatem w Bethune w departamencie Pas de Calais, rozentuzyazmowana ludność sprawiła mu owacyę, jakiej się nawet nie spodziewał. Wzruszony przyjęciem, dziękował skromnie za wyrazy uznania i z prawdziwym artyzmem skrócił czterech ludzi o głowę wśród oklasków i okrzyków radości. Dziwię się bardzo Francuzom, których miałem dotąd za ludzi kulturalnych a oburzenie moje podziela i *Naprzód*, twierdząc z całą stanowczością, że w owych orgiach brało udział tylko „burżuazyjne hultajstwo“, choć czytałem wyraźnie, że radowali się tam i towarzysze, którzy, podobnie jak teraz w Austryi, są we Francyi partyą rządową.

Jak się to jednak przyjaciele różnią w swych zapatrywaniach? *Entente cordiale* Francuzów z Czechami jest znaną całemu światu, tam weneruja kata, tu bojkotują tak namiestnika, iż zmuszony okolicznościami ogłosił stan wyjątkowy i sprowadził mistrza z Wiednia, we Francyi byłby dostał za to chyba legię honorową!

Najbliższy sąsiad Francyi, król Edward, który obecnie uzyskał rekord światowy między politykami europejskimi, pobiwszy nawet swego utalentowanego siostrzeńca na długość ogona, syt laurów i sławy wybiera się obecnie na tournée polityczne. Pierwszym etapem ma być Berlin. Tu pocieszy zmartwionego Wilusia i poda mu kilka osłodzonych pigułek celem rychlejszego spełnienia tajemnych marzeń. Stamtąd powróci do Londynu, aby odpocząć, poczem wyruszy nad Sekwanę, aby pogratulować Fallieresowi sukcesów gilotynowych. W dalszej podróży ma zwiedzić Turcyę, gdzie spodziewa się serdecznego przyjęcia, jako reżyser owej politycznej komedyi, na której Turcya zrobiła obecnie najlepszy interes. Wprawdzie sułtan nie bardzo z tego jest zadowolony i podobno kazał cichaczem przewieźć swój harem do Małej Azyi, zostawiając na miejscu na czas przybycia Edzia same tylko teściowe., ale cóż robić, turecka gościnność (równa obecnej staropolskiej) nie pozwala się krzywić, skoro ma przyjechać koronowany kolega i protektor. Anglii ma sułtan wiele do zawdzięczenia i żywi dla niej sympatyę, chorował przecież w młodości nawet na angielską chorobę.

Zapraszaliśmy króla Edwarda do Krakowa na pierwszą redutę, która w wojowniczym roku rozpoczęła sezon karnawałowy, wytłumaczył się brakiem czasu i niepewnością politycznej sytuacyi. Reduta mimo to podobno się udała, choć, jako w żałobie po odjeździe magnifiki będący, nie wziąłem w niej udziału. Karnawał zaczął się w całej pełni, a nasi wielcy, których ominęły ordery jubileuszowe, cieszą się przynajmniej tem, że ozdobią swe piersi orderami kotylionowymi. Wogóle zaznaczyć należy, że owa piersiowa choroba, zwana przez internistów *orderomania acuta*, zaczyna się u nas szerzyć z nadzwyczajną siłą. Kto nie ma bodaj medala jubileuszowego, uważany bywa za polityczne zero. Sądzę, że na przetrzymanie szerzącej się zarazy wpłynie dodatnio zamianowanie nowego fizyka miejskiego, co nastąpiło w ubiegłym tygodniu.

Jakie powody kierowały naszą Radą miejską, że pominęła dotychczasowego zastępcę fizyka, który zjadł zęby w służbie miejskiej, a wybrała człowieka obcego, w to nie wchodzę, zaznaczyć muszę w każdym razie, że stała mu się krzywda. Już to u nas zaczyna wchodzić w zwyczaj, że z pominięciem swoich szuka się obcych bogów.

Tyle w obronie zasady.

Natomiast z radosnem sercem stwierdzić muszę, że na krakowskim magistracie wzoruje się magistrat lwowski, który postanowił sprawić sobie automobil wodociągowy, podobnie jak to już uczynił dawniej Kraków. Ma wprawdzie Lwów nad nami tę wyższość, iż posiada automobil do śmieci, czego my nie mamy, nie ma zaś smoków, które u nas cierpią na niestrawność i nie chcą zjadać śmieci, to też jak to osobiście sprawdziłem i u nas i we Lwowi nie ma porządku, ale co odpowiada konserwatywnemu charakterowi naszego grodu, to nie licuje z postępowością nadpełtwiańskiej stolicy. Będą radcy miejscy mieli wygodę, dotąd jeździli do Brzuchowic tylko owym automobilem śmieciowym, teraz będą mieli nadto wehikuł wodociągowy, który powiezie ich z paradą na bombkę do Szkorwona.

Nie narzekam bardzo na magistrat krakowski z powodu śniegu i błota, gdyż wyczytałem w gazetach, iż i w Paryżu leżały kupy śniegu na ulicach, a publika ot, jak publika, narzekała na magistrat, zupełnie jak u nas, ta tylko różnica, że kiedy śnieżyca dla Paryża stanowi nadzwyczajność, u nas należy wraz ze swemi następstwami do zdarzeń zupełnie zwykłych. Mam nadzieję, że to się wszystko poprawi z chwilą, gdy magistrat dając folgę żądaniu komitetu równouprawnienia kobiet dopuści i rodzaj żeński do pracy około czyszczenia miasta. Wprawdzie w lecie treny naszych pań zamiatają doskonale ulice i plantacye, ze zmianą jednak mody zmieni się i to, a jak wiadomo, moda bardzo często ulega wahaniom. Moda króluje nawet między samobójcami! Dotąd były zapałki fosforowe uprzywilejowaną trucizną niższych warstw społeczeństwa, obecnie wyszły z mody, a miejsce ich zajęły nowsze środki. W bieżącym tygodniu otruła się na Dębnikach jakaś niewiasta benzyną, która w obecnych automobilowych czasach jest w modzie.

Obawa trzęsienia ziemi spowodowała budownictwo do ścisłego przestrzegania przepisów policyi budowlanej, dlatego też jest nadzieja, że tak prędko nie usłyszymy już o żadnem zawaleniu się jakiejś budowli w obrębie wielkiego Krakowa z przyległościami a szkoda, gdyż to stanowi przecież pewną sensacyę, przerywającą monotonię codziennego życia. Słyszymy wprawdzie o ciągłych kradzieżach i włamaniach, co świadczy o należytem podniesieniu się przemysłu krajowego, skonstatować jednak należy z wielkim uznaniem, że owymi operatorami są w większej ilości wypadków żywioły napływowe, a na pochwałę naszej policyi musimy zaznaczyć, że otacza ona owych niebieskich ptaków, co to ani orzą, ani sieją, tylko kradną, należytą pieczołowitością i bardzo chętnie udziela im bezpłatnej gościny w swych apartamentach przy ulicy Kanoniczej. Swoją drogą fach włamywaczy jest bodaj czynie jednym z najrentowniejszych, o ile niema się pecha, a tu ludzi bez niego coraz mniej na świecie, jak zapewne racyę mi przyzna każdy z Szan. Czytelników który niniejszą kronikę miał ochotę przeczytać do końca. *X.*

Odjazd młodej pary.

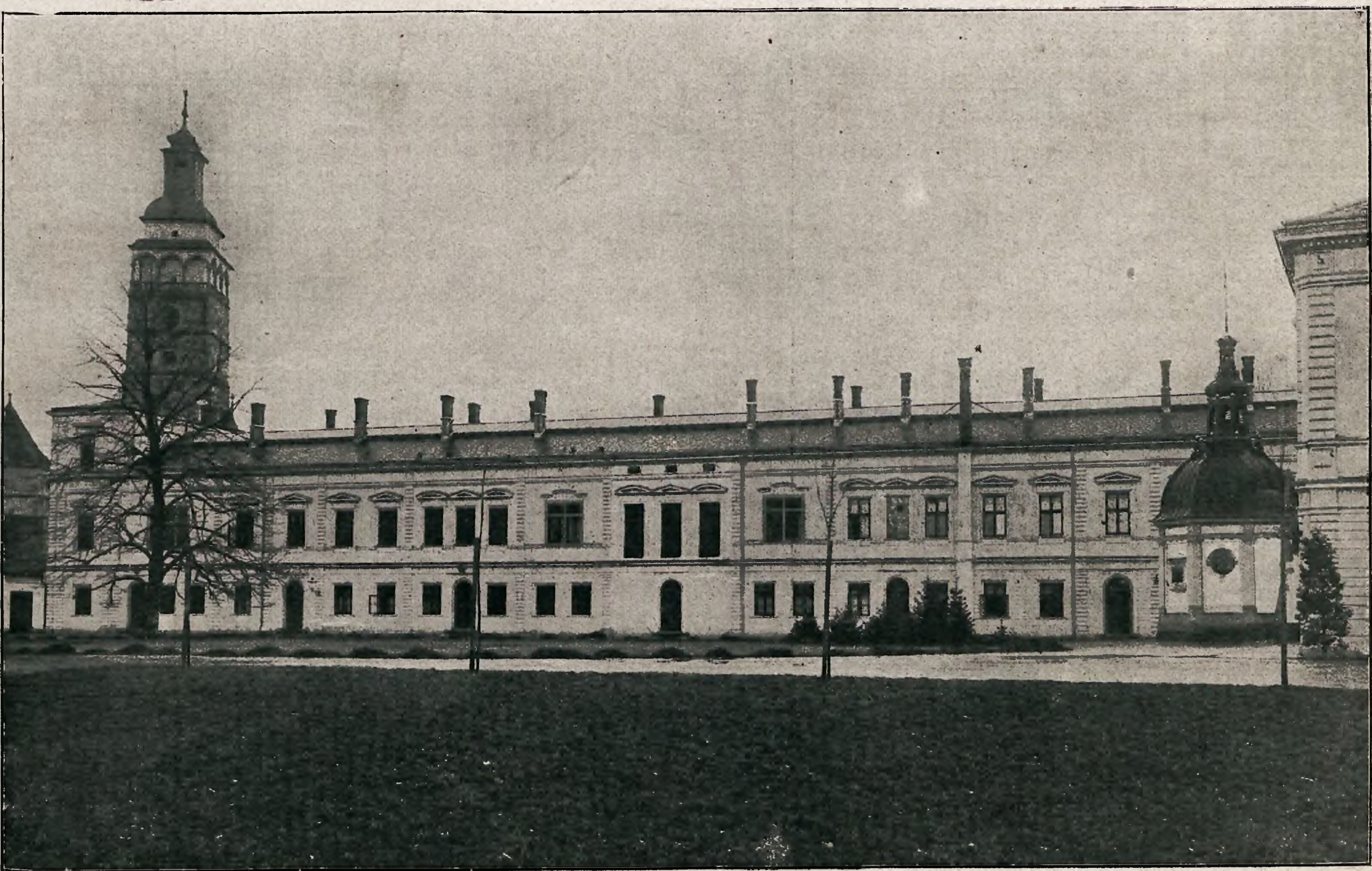
Po ceremonii ślubnej i przyjęciu gratulacyj przez państwa młodych, odbył się — jak wspomnieliśmy wyżej — w wielkiej sali zamkowej na 1-szem piętrze obiad galowy, z którego podajemy znakomite zdjęcie. Na tem zakończyły się gody weselne a ich uczestnicy



Gody weselne w Żywcu: Narzeczeni.



Gody weselne w Żywcu: Tablica pamiątkowa wmurowana przez Arcyksięcia Karola Stefana na pamiątkę pobytu królowej hiszpańskiej w zamku żywieckim.



Gody weselne w Żywcu: Widok nowej części zamku, dobudowanej przez Arcyksięcia Karola Stefana, wraz z kaplicą zamkową.



Gody weselne w Żywcu: Starosta, p. Porth, przedstawia się arcyks. Leopoldowi Salwatorowi.

rozeszli się do swych apartamentów. Tegoż dnia, tj. w sobotę popołudniu opuścili oni Żywiec.

Tymczasem zebrał się na dworcu kolejowym, nie odstraszony fatalną pogodą spory zastęp żywczan, aby pożegnać młodą parę, mającą najbliższym pociągiem wyjechać na południe w podróż poślubną. Znaleźli się tam również przedstawiciele władz ze starostą p. Porthem na czele.

Przed g. wpół do 4-tej nadeszli mandoliniści i ustawili się obok miejsca, gdzie nowożeńcy wsiąść mieli do osobnego, dla nich przeznaczonego wagonu salonowego. Wkrótce potem nadjechali młodzi księstwo ubrani w skromne kostyumy podróżne. Młoda księżna wyglądała świeżo, prawdziwa radość i zadowolenie przebijały się z jej oczu. Pożegnawszy się bardzo uprzejmie z obecnymi, księstwo wsiedli do wagonu. Mandoliniści odegrali na pożegnanie kilka utworów, a między nimi „Wieniec melodyj polskich“.

Nadeszła chwila odjazdu. Rozległy się sygnały pociąg drgnął i wolno ruszył z miejsca. Obecni odkryli głowy, rozległy się gromkie okrzyki: „Wiwat!“ „Niech żyją państwo młodzi!“

Księżna i książę, widocznie wzruszeni serdecznem pożegnaniem, stojąc w otwartem oknie wagonu salonowego dziękowali zgromadzonym.

„Bardzo dziękujemy! Do widzenia!“ — to były ostatnie ich słowa. Pociąg szybko pomknął wdal, unosząc ze sobą młodą parę, której towarzyszą jaknajlepsze życzenia całego polskiego ogółu.



Gody weselne w Żywcu: Arcyksiążę Karol Stefan wita swych gości na dworcu.

Na południu.

Z Żywca księstwo Hieronimowie Radziwiłłowie udali się wprost do miejscowości Lussingrande, położonej na dalmatyńskiej wyspie Lussin, która odległa jest tylko o dwie i pół godzin statkiem parowym od Poli.

Okolice tamtejsze, a szczególziej Lussingrande, stanowią cudowne miejsce pobytu podczas zimy, której prawie tam się nie odczuwa, z powodu bardzo łagodnego, wzmacniającego klimatu i niezrównanej piękności przyrody. Wiecznie pogodne, lazurowe niebo unosi się nad wyspą Lussin, obląną przez błękitne fale Adryatyku. Na wschód od niej rozsypany jest labirynt wysp i wysepek sąsiednich w sinej zaś dali majaczy pasmo gór Velebitu na brzegu dalmatyńskim. Roślinność południowa, starannie pielęgnowana po ogrodach i okrywająca złomy skał, a nietracąca nawet zimą swej barwy, nadaje wyspie uroczy wygląd.

Nic też dziwnego, że coraz więcej turystów ciągnie do Lussin, które stało się ostatnimi czasy bardzo uczęszczaną stacyą klimatyczną, nawet latem. W tej bowiem porze roku nie dają się tam czuć nigdy upały, ponieważ lekki powiew morskiego wiatru ciągle je łagodzi. Do tego posiada Lussigrande znakomite kąpiele morskie o wodzie kryształowo czystej z powodu skalistego dna i z falą dość silną.

Arcyksiążę Karol Stefan wielki miłośnik wszelkiego piękna, upodobał sobie z wymienionych względów Lussigrande i wybudował tam rezydencyę, w której prawie co roku przebywa z dziećmi, czas dłuższy, szczególniej na wiosnę. W tej to właśnie rezydencyi nowożeńcyi spędzą część miodowych miesięcy.

Jestto gustowna willa, położona wśród prześlicznego 30-morgowego parku. Zdobią go wzorzyste kobierce kwiatów, cieniste aleje sosnowe, gaje pomarańczowe, grupy cyprysów, palm i rozmaitych południowych roślin. Jednem słowem, jestto idealny zakątek dla ludzi, którzy pragną spędzić najprzyjemniejsze chwile życia zdala od zgiełku światowego a w otoczeniu pięknej i łagodnie uśmiechającej się przyrody.



Na ruinach Messyny: Mieszkańcy wiosek okolicznych uciekają z ocalonym dobytkiem

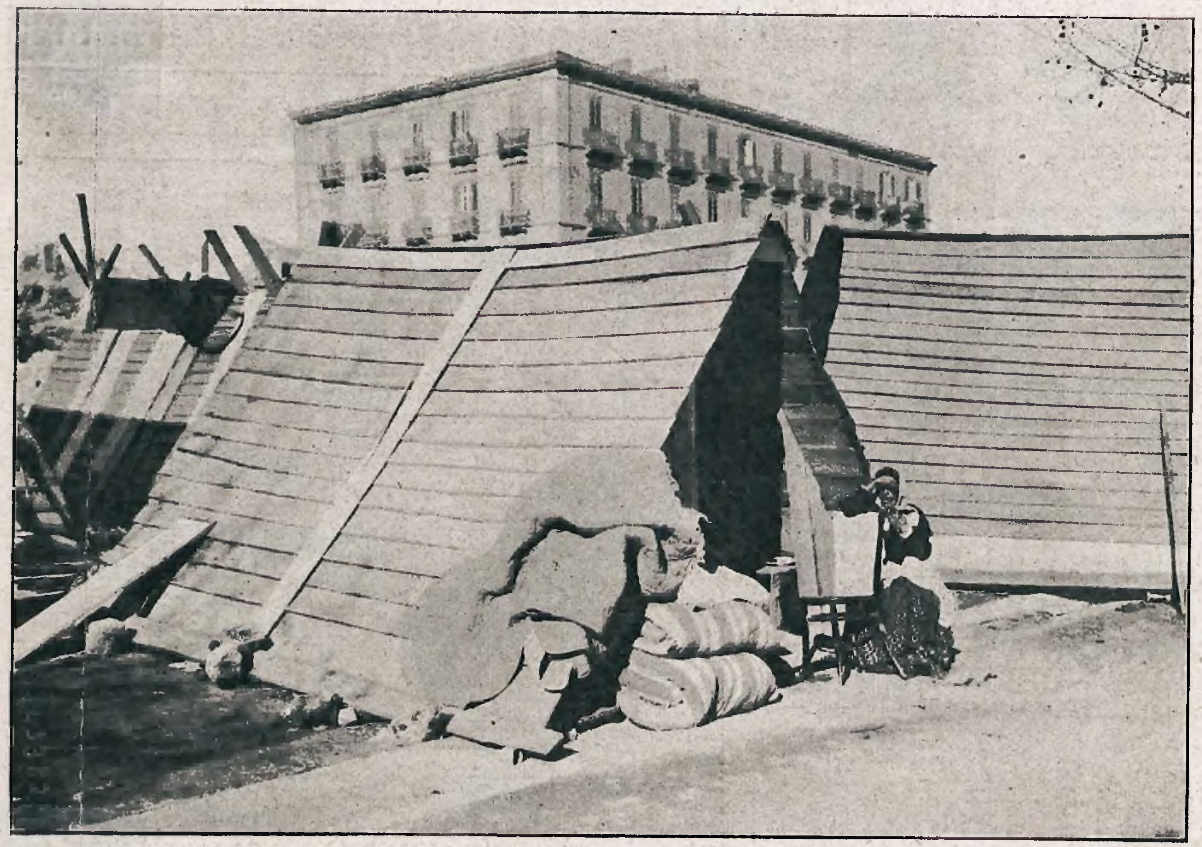


Towarzystwo upiększenia miasta Krakowa ogłosiło z końcem ubiegłego roku konkurs na najpiękniejszą wystawę sklepową. Warunkiem koniecznym było, aby wystawa urządzoną była gustownie i skromnie, t. j. bez użycia ozdób nie wchodzących w zakres odnośnej firmy. Pierwszą nagrodą odznaczono obecnie znaną w całem mieście i kraju firmę Zdzisława Zdanowicza, za jego wystawę sklepową, urządzoną z prawdziwym smakiem i komfortem, iście zagranicznym, przez dysponenta firmy p. Sołtysa. Że panu Zdanowiczowi łatwo przyszło urządzenie tak wspaniałej i pieszczącej oko wystawy, łatwo każdy zrozumie, kto wie, że w sklepie tym spotyka się tylko towary pierwszorzędnej jakości, tak krajowe jak zagraniczne z wyłączeniem wytworów pruskiego przemysłu. Z zapasów sklepowych, w które firma na każdy sezon zaopatruje się nader obficie, urządzono prawdziwe cacko, to też słusznie postąpiła komisya wystawowa odznaczając firmę, a uznanie to podziela i wytworna publiczność Krakowa, która gromadami wystaje przed sklepem i podziwia wystawione przedmioty. Zapobiegliwość, uczciwość i uprzejmość właściciela handlu i pomagającego mu personalu sklepowego, nagradza też publiczność zupełnem zaufaniem a świadectwem tego wzmagająca się coraz bardziej liczba stałych odbiorców, którzy u Zdanowicza zaopatrują się we wszelkie towary galanteryjne, bieliznę, perfumeryę, kapelusze, przybory do podróży i kto tam wyliczyć potrafi wszystkie gałęzie tego rodzaju przemysłu, w których magazyn jest obficie zaopatrzony.


M. Sołtys, dysponent firmy.

Każdy, kto udaje się do Zdanowicza, wie, że kupuje towar modny, elegancki, trwały i niedrogi, a co najważniejsze pochodzący z fabryk krajowych, francuskich lub angielskich, znanych zaszczytnie w całym świecie. Społeczeństwo nasze zaczyna się już dzięki Bogu przekonywać, że opłaci się wydać kilkadziesiąt halerzy więcej, aby zaopatrzyć się w jakiś przedmiot wykonany starannie i z najlepszego materyału, który w trójnasób przetrwa lichą tandetę, jaką niektóre małe handle starają się wprowadzić w błąd kupującą publiczność, zachwalając jej taniość i dobroć. Kupujący żałuje dopiero po niewczasie, gdy się przekona, że kupił wprawdzie taniej o kilka centów, ale stracił podwójnie, bo zakupiony przedmiot niszczeje już po paru dniach i staje się niezdolnym do użytku. Towary Zdanowicza przeciwnie, choć może na oko nieco droższe, w gruncie rzeczy są tańsze, gdyż wykonują swą służbę przez czas dwu i trzykrotnie dłuższy. Nie potrzebują też one reklamy, same się chwalą swą elegancyą i trwałością, o czem zresztą każdy może się naocznie przekonać, a z pewnością nie pożałuje pierwszego kroku i zostanie stałym odbiorcą tej rzetelnej firmy.

Pan Zdanowicz wychował też pod swem troskliwem okiem już jedno pokolenie kupców galanteryjnych, rozsianych po całej Galicyi, którzy w myśl zasad, wszczepionych im przez pryncypała, pracując nad podniesieniem przemysłu krajowego, cieszą się też i poparciem rozumnej publiczności, umiejącej uznać i ocenić sumienną i rzetelną pracę.



Na ruinach Messyny: Baraki wystawione dla ocalonych mieszkańców.

Na ruinach Messyny.

Wielka katastrofa, jaka dotknęła południowe Włochy, a szczególniej nieszczęsną Messynę, w dniu 28 grudnia ubiegłego roku, pozostawiła po sobie straszliwe ślady, które dopiero po wielu latach zostaną zatarte. Tymczasem jednak wprawdzie mniejsze, ale ciągle powtarzające się wstrząśnienia dopełniają dzieła zniszczenia i utrudniają akcyę ratunkową. Zasadza się ona teraz na wydobywaniu zwłok i usuwaniu gruzów, względnie demolowaniu tych budynków, które grożą zawaleniem. W drugim zaś zaś kierunku jest skierowaną do zaopatrywania ludności, która straciła całe mienie, w żywność i do wznoszenia dla niej mieszkań prowizorycznych.

Datki napływają obficie z całego świata, lecz jak to bywa w podobnych wypadkach, rozdział ich wywołuje ostrą krytykę nietylko pomiędzy interesowanymi, ale i w wielu organach prasy włoskiej. Obecnie zachodzi wielka trudność w dostarczaniu żywności dla kilkudziesięciu tysięcy ludzi, ponieważ brakuje kuchni i naczyń do ich ugotowania. W tym kierunku wyświadcza dużo dobrego ekspedycya, urządzona przez wiedeńskie Towarzystwo ratunkowe, które wysłało kilkadziesiąt kuchni polowych do Messyny, mogących pod nadzorem personalu Towarzystwa, dostarczać dziennie kilkanaście tysięcy porcyj gorącej strawy.

Włosi, których charakterystyczną cechą jest wielka solidarność narodowa, czynią wszystko, co można, aby ulżyć nędzy swym nieszczęsnym rodakom w Sycylii i Kalabryi. Ponieważ zaś odznaczają się wielkiem przywiązaniem do gleby ojczystej i pietyzmem dla przyszłości — przeto ani chcą słyszeć o projekcie zaniechania odbudowy Messyny, który to projekt był najrozsądniejszym, wszystko bowiem zdaje się wskazywać, że grunt pod Messyną wciąż jest niepewny. Koszta takiej odbudowy muszą pociągnąć za sobą olbrzymi wydatek, nieproporcyonalny do siły finansowej królestwa włoskiego.

Jest jednak prawie pewnem, że bez względu na kolosalne ofiary, Włosi zabiorą się do dzieła, które, gdy doprowadzonem zostanie do skutku, będzie wspaniałym pomnikiem ich ofiarności i wytrwałości.

Zanim to nastąpi, przybywa do Messyny, Reggio di Calabria i t. d. mnóstwo turystów, aby oglądać skutki trzęsienia ziemi, o których żaden opis nie mógł dać dokładnego wyobrażenia, a z których podajemy w dzisiejszym numerze ciąg dalszy oryginalnych zdjęć fotograficznych. Ponieważ ostatnie trzęsienie ziemi składało się z bardzo silnych uderzeń falistych i pionowych, więc nie mogła się im oprzeć żadna budowla. Po dokładnem zbadaniu ruin będzie można wynaleźć w przyszłości prawdopodobnie taki sposób budowania, który choć w pewnym stopniu zapewni im odporność, gdy „zaczną ziemią wstrząsać dreszcze", jak się obrazowo Włosi wyrażają. Obserwacye i doświadczenia w tym kierunku poczyniono już dawniej w Japonii, która podlega nader częstym trzęsieniom i przekonano się, że mury o przekroju parabolicznym są najwięcej odporne.



Na ruinach Messyny: Jedna z głównych ulic miasta po katastrofie.

Zagadki do nagrody.

ŁAMIGŁÓWKA.

Ułożył Mar. Szr. Nowy Sącz.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły znane przysłowie:

Czy tuzy wkradnie.

ZAGADKA.

Ułożył Gramski, Żiolkiew.

Pierwsza z drugą, widać wszak
Imię znaczy wprost. czy wspad!
Gdy jej z przodu *m* kto przyda,
Ważną rzecz ma z dziejów żyda.
P natomiast na jej czele,
Da coś. czego dziś za wiele,
S zaś z przodu. bez wątpienia.
W sport zimowy całość zmienia.
Gdy z *w* wreszcie złączysz oną
Sam w niej nieraz byłeś pono.

SZARADA.

Ułożył Gramski, Żółkiew.

Jednozgłoskowa jest moja szarada,
Stolica kraju, objaśnić wypada.
Gdy pierwszą głoskę zaś na koniec dacie,
To niezmienioną całość i wspak macie.

ZADANIE RACHUNKOWE.

Ułożył M. Kościński, Żarki.

Na wycieczce było 70 osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, Gdyby było o 7 dzieci więcej, to liczba ich równałaby się potrójnej liczbie mężczyzn, gdyby zaś było o 7 mniej to liczba ich równałaby się liczbie kobiet. Ile było mężczyzn, kobiet i dzieci?

SZARADA.

Ułożył K. Chodkiewicz. Zbydniów.

Kiedy piękna pierwsza czwarta
Furory robi na świecie,
Bo przymiot ten wiele warta,
Wszak panie dobrze to wiecie.

I trzecia z czwartą tuną jest.
Gdy się te cary posiada,
Twarz pełna dumy, szumny giest.
Bo w koło pochwał kaskada!

Drugą w zaimków staw rzędzie
A koniec będzie mozołom
Całość oklaski zdobędzie,
Gdy gra się uda aktorom!

KRZYŻ MAGICZNY.

Ułożył Józef Michalak z Warszawy.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy mające w kierunku poziomym i pionowym jednakowe znaczenie.

a a a
a a a
a a i i k k ł
m m n n o o o
o r r s s s s
t t u
n w w

Znaczenie wyrazów: 1. Znany w gospodarstwie domowem przyrząd. 2. Sprzęt domowy. 3. Miasto w Królestwie polskiem.

LOGOGRYF.

Ułożył J. Zirler z Rohatyna.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Litery środkowe, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, dadzą tytuł znanego dwutygodnika polskiego.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Imię żydowskie męskie. 3. Żołnierz rosyjski. 4. Zwierzę drapieżne z rodzaju kotów. 5. Spółgłoska. 6. Rzeka we Francyi. 7. Instrument muzyczny. 8. Utwór Słowackiego. 9. Ozdoba pieców i murów. 10. Ptak z rodzaju wróblowatych. 11. Spółgłoska. 12. Gatunek piwa. 13. Część ciała ludzkiego. 14. Szkło załamujące światło. 15. Miasteczko w Galicyi.

ZADANIE KONIKOWE.

Ułożył M. Kościński, Żarki.

wple	le	trzę	mi	ój	go	oj	o
pa	za	ca	swe	na	li	na	pło
bo	cio	pie	łe	na	du	ny	czy
bo	sze	ro	czu	nia	go	jak	syn
ne	nie	ca	cier	du	zy	znę	ko
tu	on	ło	na	ję	cham	jak	ma
w ło	·go	mi	pię	czu	bie	wam	i
li	ka	je	w ko	się	cier	tka	dną

SZARADA.

Ułożył Z. Gańdzik, Stary Sącz.

Masz dwie pierwsze w obfitości
To rób trzecie w ostrożności,
By najdłużej ci starczyło
I dla innych jeszcze było!
Całość miasto starodawne
I w historyi naszej sławne.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya, do rozlosowania Leopolda Starzyńskiego: **„Z gawęd starego myśliwca“.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 2.

Szarada: Czarnogóra.
Szarada: Buraki.
Zagadka: Zakaz.
Logogryf: Maryan Gawalewicz.
Szarada: Deszczochrony.
Logogryf: Steinheil.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, M. Andrzejewska Nowa Wieś, M. Serbeńska Budzanów, A. Grabowska Berwald, M. Wysocka Tęgoborza, A. Goldberg Lwów. O. Stefanicki Tarnopol, J. Biegoń Sucha, M. Szalerski Wiśnicz, L. Witek Mościska, W. Komalska Tarnów, H. Gottówna Lwów, M. Kościński Żarki, R. Smrokoński Wieliczka, M. Haszczyc Żurawno, K. Stasiniewicz Kraków, Z. Hirschowa Kołomyja, Dr. Goldberg Czortków, M. Arbesbauer Lwów, J. Tabor Lwów. St. Cześnikiewicz Kraków, S. Koziołkowski Tarnów, L. Zawadzki Pszeniczniki, J. Augustynowicz Żywiec, W. Radwański Lwów. Kumor Brzozów, M. Czechowski Ropczyce, A. Jakiel Jasło. A. Połończykowa Żywiec, K. Jurkiewicz Gwoździec, A. Reszko Klecza górna, W. Wodziński Koło, W. Spirydowicz Stara Sól. S. Eckhard Stanisławów, S. Szponderowa Gródek Jag, Z. Szromba Nowy Sącz, A. Huppmann Kraków, A. Brzazgacz Andrychów, D. Papée Lwów, J. Januszewski Podgórze, K. Fuchs Czeremchów, T. Przybylski Podgórze, S. Żelechowski Kraków. K. Bozogij Swinów, J. Skałuba Mogiła, A. Nikosiewiczowa Krzywe, F. Niepokój Krosno, L. Świszczowska Swoszowice. A. Zimmer Mikulińce, E. Tyszarski Drohobycz, M. Opólska Czarny Dunajec, Z. Ciechanowski Stary Sambor, W. Dagnan Piwniczna, N. Kochańska Kobylanka, Z. de Boulangé Gawłówek, A. Kudła Tapin, H. Chodkiewicz Warszawa, S. Gajdeczka Cieszanów, J. Mardarowicz Kołomyja, P. Drzewiecka Lwów, A. Bocsoń Bóbrka, J. Gawrońska Kamionka Str., L. Praxmajer Husiatyn, P. Michalik Kurow, F. Jeleńska Abbazya, J. Zborzil Dobrków, ks. J. Kruczkowski Janów, L. Pantofliński Wadowice, J. Smoszna Milówka. S. Kaiserówna Sokal, Zarząd szkoły tkackiej Wilamowice, J. Rożniatowski Jabłonów, St. Łaszkiewicz Dębica, H. Harman Czortków, J. Skucińska Rzeszów, L. Jezienicka Monasterzyska, M. Kierski Truskawiec, B. Mieczkowski, Kraków, T. Kielanowski Sambor, S. Zaremba Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **O. Stefanicki Tarnopol.** Prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Głosy publiczne.

Dyrekcya Cyrku Edison donosi:

W programie, który danym będzie od piątku dnia 22-go do czwartku dnia 28-go stycznia br. między innymi, bardzo pięknymi obrazami, pokazywanym będzie obraz przedstawiający zamordowanie księcia Guise przez króla francuskiego Henryka III.

Dramat ten granym był w komedyi francuskiej w teatrze Renaissance w Paryżu przez pierwszorzędnych artystów panów Le Bargy i Alberta Lamberta i przez panie Kobinne i Bowy.

Obraz ten jest oryginalnem zdjęciem przedstawienia teatralnego.

Nadesłane.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przymuje odpowiedzialności.